

ROK II. NR. 6
WARSZAWA
SOBOTA
10-II-1934 R.
CENA 50 GR.

PIOŃ

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WACŁAW
MAKOWSKI

MYŚL PRZEWODNIA NOWEJ KONSTYTUCJI

Każda formuła ustawowa musi być odpowiednikiem jakiejś społecznej treści; ponieważ życie społeczne ulega procesowi stałego rozwoju, treść społeczna się zmienia, odpowiednie zmiany muszą zachodzić także w formułach prawnych.

Na przełomie XVIII i XIX stulecia wskutek długotrwałego procesu ewolucyjnego państwo stanowe i społeczeństwo stanowe musiały ustąpić miejsca nowym formom.

W ramach formalnego podziału ludzi na stany i związanych z tym podziałem przywilejów i ograniczeń nie mogły się pomieścić stosunki rzeczywistości, która wykazywała częstokroć wyższość ludzi ze stanów uposażonych nad ludźmi ze stanów uprzywilejowanych. Szczególniej dotyczyło to stanu trzeciego. Stopniowo w rękach stanu trzeciego przemysłowego i kupieckiego skupiały się bogactwa, z pomiędzy przynależnych do tego stanu rekrutowały się jednostki przewyższające swoją wartością umysłową i społeczną uprzywilejowaną arystokrację rodową. Tak więc liczniejszy, bogatszy, rozumniejszy, bardziej współczesny stan trzeci zaczął odczuwać coraz dotkliwiej swoje uposażenie.

Odpowiednikiem tego odczucia stać się musiała nasamprzód pewna ideologia, a następnie i czyn. Ideologia protestu przeciwko przywilejom stanowym, przeciwko nadużyciom uprzywilejowanych, przeciwko dziedziczności rodowej jako podstawie uprawnień, wystawiła hasło równości ludzi, wolności człowieka, własności — jako podstawy stanowiska społecznego. Nie ten kto jest lepszy z rodu, ale ten kto więcej ma, znać czy powinien więcej w społeczności, cenzus majątkowy przychodzi na miejsce cenzusu rodowego, ale uczynić to może tylko przez skasowanie przywilejów rodowych, przez unicestwienie podziałów stanowych, przez uznanie przyrodzonych rzekomo praw człowieka — wolności, równości, własności i t. p.

Jeżeli nie wszędzie te nowe zasady w pełni zostały urzeczywistnione to jednak stały się one podstawą ideologii panującej w XIX wieku i nadającej ton życiu społecznemu.

Jednakże bardzo prędko zaczęły się ujawniać błędy tej ideologii. Nie mówię już o błędzie raczej teoretycznym co do pierwotności rzekomo przyrodzonych praw człowieka, które w istocie rzeczy są dopiero wynikiem długotrwałego procesu rozwojowego życia i organizacji społecznej; ale pod względem praktycznym nowa organizacja oparta na tych rzekomo przyrodzonych prawach, prowadziła do wyników karykaturalnych. Zniesienie podziału na stany stworzyło nowy podział społeczności na klasy. Nie pochodzenie ale majątek stał się teraz podstawą podziału, a na gruncie tego podziału zaczęły się tworzyć nowe przywileje, umiejętnie wyzyskujące zasadę wolności i równości.

Z płaszczyzny politycznej zagadnienie przeniosło się na płaszczyznę ekonomiczną: wolność polityczna i równość przed prawem nie tylko nie przeszkadzały ale dopomagały uprzywilejowaniu bogactwa i własności, uposażeniu biedy i pracy. Wolność umów,

„żelazne prawo” podaży i popytu, wolna konkurencja na rynku pracy, obłudna gloryfikacja rzekomej równości doprowadzały do wyzysku, do niewolnictwa ekonomicznego, gorszego niż dawne niewolnictwo prawne.

A rola państwa w tym procesie społecznym miała pozostać bierna. Bierność tej roli państwa była okolicznością, umożliwiającą to skarykaturowanie tak pozornie pięknych hasel Rewolucji Francuskiej.

Państwo miało być jedyną formą zrzeczenia, każde zrzeczenie częściowe w ramach państwa byłoby zaprzeczeniem zasady wolności człowieka. Zbrodnią przeciwko wolności był nie tylko strajk, który naruszał swobodę umowy, ale i związek zawodowy, który kępował wolność działania swoich członków, albo stwarzał dla nich przywileje w porównaniu z nieczłonkami, uderzał w zasadę równości.

Państwo było obowiązane przeciwstawić się takim zbrodniom przeciw wolności i równości, strzec przyrodzonych praw wśród których najmożniejszym stawało się prawo własności.

W życiu społecznym rozpoczęła się walka pomiędzy indywidualizmem własności i solidarnością pracy, solidarność klasowa robotnicza przeciwstawiała się zaczęła indywidualizmowi kapitału.

To były pierwsze szczeble, po których idea solidarności społecznej zaczęła wkraczać do świadomości i do życia.

A państwo w myśl starych już teraz tradycji indywidualizmu liberalnego, w myśl przyrodzonych praw człowieka miało się przeciwstawiać wymogom solidarności społecznej.

Napór żywych sił rozwoju społecznego, oczywistość doświadczenia z praktykowaniem podmiotowych praw przyrodzonych zaczęły jednak osiągać skutek. Maszynę państwową życie wkslowało stopniowo na inny tor, — tor solidarności społecznej.

Okazało się bowiem, że cała istota życia zbiorowego polega właśnie na zależności wzajemnej ludzi, na tem, że zachowanie się każdego człowieka odbija się na losach innych, na tem, że oprócz przeciwieństw istnieją zbieżności, oprócz egoizmu — emocje społeczne, oprócz współzawodnictwa — naturalna konieczność współdziałania. Wiara w to, że się te wszystkie sprawy ułożą same, hyleby tylko nie przeszkadzać człowiekowi w wykonywaniu jego praw przyrodzonych — zawiodła. Okazało się, że trzeba jakiejś pomocy zbiorowej, jakiegoś czynnika regulującego, jakiejś organizacji, któraby temu nowo odkrytemu dobru zbiorowemu mogła służyć skutecznie i któraby miała dostateczny autorytet, aby się przeciwstawić odśrodkowym dążeniom indywidualizmu. Z istoty rzeczy zwrócono się do państwa.

Na miejsce negatywnych gwarancji praw jednostki, które miało państwo dawać dotąd, zażądano od niego pozytywnej akcji na rzecz dobra zbiorowego.

Rzeczą historyków i socjologów jest omawiać szeroko przyczyny i warunki w jakich się ten proces przeobrażenia odbywał. Nam wystarczy dziś stwierdzenie oczywistego faktu, że przeobrażenie wchodzi już w stadiu

końcowe. Nadeszła chwila aby tym przeobrażeniem społecznym dać odpowiedni wyraz w sformułowaniach prawnych.

Kiedy zaraz po wojnie powstawały nowe i przekształcały się dawne państwa, napisano szereg ustaw konstytucyjnych. Treść ich była prześlągnięta formułami liberalizmu indywidualistycznego, gdzie nigdzie tylko dając wyraz tendencjom społecznym. Ale za ledwie upłynęło kilkanaście lat — oblicze świata zmieniło się radykalnie. Nie mówię już o Republice sowieckiej, gdzie postawiono kategorię zasadę kolektywizmu i podporządkowano wogóle jednostkę zbiorowości, znosząc nawet własność prywatną; ale i faszyzm włoski i narodowy socjalizm niemiecki dążą do przeniesienia punktu ciężkości od jednostki do zbiorowości; co więcej — odbywająca się faktycznie, w ostatnich czasach propagowana formalnie „integracja syndykalizmu” we Francji jest inną formą tego samego procesu; wreszcie reformy społeczne Roosevelta w Ameryce dają obraz o tym „nowym” zasadach i typie.

Oto jest zagadnienie społeczne, które rozwiązać musi świat współczesny, a więc i Polska.

Polityczna strona tego zagadnienia polega na dostosowaniu roli państwa do naszych zadań.

Rola państwa liberalnego była znikoma i bierna, rola państwa społecznego staje się doniosła i czynna.

Jako naturalna reakcja przeciwko nicości państwa, stojącego na straży prywatnych praw i interesów człowieka, występuje przesadne dążenie do wszechpotężnego państwa podejmującego się wszystkich czynności społecznych, do t. zw. „państwa całkowitego”, o którym dziś głośno w literaturze szczególnie niemieckiej.

Reforma konstytucyjna w Polsce stała się tak samo aktualna jak wszędzie w Europie, z tych samych powodów i oczywiście dla tych samych celów.

Istotą tej reformy być musiało dostosowanie organizacji państwa do nowych jego zadań, przekształcenie państwa indywidualistycznego na państwo społeczne.

Ale przedewszystkiem najważniejszym składnikiem reformy jest zmiana stosunku wzajemnego pomiędzy państwem a obywatelem.

Nowa konstytucja polska na tę właśnie zmianę kładzie szczególny nacisk.

Tak samo jak Deklaracja praw człowieka w r. 1789 stawała się punktem wyjścia dla formuł ustrojowych XIX wieku, tak samo należało formułom ustrojowym nowego państwa dać zasadniczą deklaracyjną podstawę. Zawiera się ona w pierwszych dziesięciu postanowieniach nowej Konstytucji polskiej. Jest to deklaracja solidarności społecznej, deklaracja zasad, na których opiera się państwo solidarności społecznej.

W Deklaracji tej zamyka się cały nowy system ustrojowy, nowy światopogląd, w bardzo wielu pojęciach odmienny aniżeli ten, któremu holdował wiek XIX.

Treść deklaracji jest bardzo jasna, skondensowana w niewielkiej liczbie prostych zdań, stwierdza ona pewne prawdy, które

TREŚĆ:
W. MAKOWSKI
MYŚL
PRZEWODNIA
NOWEJ
KONSTYTUCJI
ST. I. WITKIEWICZ
ZNOWU TO
SAMO AŻ DO
ZNUDZENIA
CZYLI O ROLI
ŚWIATOPOGLĄDU
W LITERATURZE
W I E R S Z E
BR. L. MICHAŁSKIEGO
H. ŁAZOWERTÓWNY
E. ŻYTOMIRSKIEGO
HALINA KRÜGERÓWNA
LEON PŁOSZEWSKI
P A M I Ę C I
WINCENTEGO
D R A B I K A
BOGDAN SUCHODOLSKI
JAK UJMOWAĆ
I OCENIAĆ MYŚL
BRZOSOWSKIEGO
J. E. SKIWSKI
IDEOLOGJA
„NA WYNOS”
RECENZJE,
SPRAWOZDANIA,
KRONIKA I NOTATKI

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/15

powinny wejść całkowicie i głęboko w świadomość społeczną.

Każde z tych zdań mogłoby stanowić temat rozprawy ale też i każde z nich może być bez jakichkolwiek komentarzy przyjęte poprostu, mają one bowiem suggestywną siłę prawdy, taką samą, jaką miały artykuły dawnej deklaracji francuskiej 1789. Prawdy te są często odmienne, ale też stoi pomiędzy nimi bezmała 150 lat ciężkich doświadczeń życia społecznego.

Będziemy zapewne niejednokrotnie wracali do analizy polskiej deklaracji konstytucyjnej, dziś poprzestaję na stwierdzeniu, że zawiera się w niej sformułowanie szeregu społecznych prawd, stanowiące nowy doniosły etap w rozwoju życia publicznego. Ważno je sobie przeczytać, zastanowić się nad nimi, a jeżeli życie społeczne przyszłości zdola je zrealizować, będzie to niewątpliwie wielkim krokiem naprzód w jego rozwoju.

Rzecz prosta jednak, że najpiękniejsza ideowa deklaracja nie może zastąpić postanowień ustrojowych, może się stać tylko źródłem światła, które pozwala naleźć postanowienia ustrojowe rozumieć.

Państwo jest to skomplikowana organizacja, ma ona swoje wielkie zadania i swoje organa przeznaczone do wykonania tych zadań.

W organizacji demokratycznej państwa spotykać się możemy z kilkoma odmiennymi formami. Demokracja bezpośrednia opiera się na głosowaniu ludowym w każdej sprawie, demokracja przedstawicielska skupia swoje zainteresowania na instytucji przedstawicielstwa, na parlamencie, odrębną formę demokracji stanowił kiedyś cesaryzm, a dzisiaj mówi się dużo o systemie elity i przywódców narodu, jako o nowej formie demokracji.

Konstytucja polska ma swoją własną koncepcję, jest nią dążenie do koordynacji organizacyjnej wszystkich wartości twórczych, jakimi powszechność obywatelska może rozporządzać. Sejm wybrany na podstawie równych, tajnych, powszechnych, bezpośrednich i stosunkowych wyborów jest tym elementem przedstawicielskim w najszerzym znaczeniu tego wyrazu, wyobrażającym emocje społeczne, bezpośrednie potrzeby ludzi, stanowiących ogół obywateli państwa.

Ale rzecz prosta, że oparcie życia organizacji państwowej na tym tylko czynniku nie wystarcza, jest to bowiem czynnik jednostronny i doświadczenie wykazało już dostatecznie, że parlamentaryzm ma w sobie wady nieuleczalne, wymagające korektywy w jakiegokolwiek postaci. Natomiast błędem byłoby eliminowanie lub znaczne ograniczenie tego czynnika przedstawicielskiego, bo przecież treścią państwa są właśnie obywatele, oni są uczestnikami organizacji państwowej, jej twórcami i z istoty rzeczy mają czujną rolę w życiu państwa.

Korektywa możliwej rozbieżności interesów reprezentowanych w sejmie powinna się dokonywać za pomocą odpowiedniego organizacyjnego wyzyskania wartości dośrodkowych, społecznie twórczej pracy i dążności poszczególnych jednostek. Zamiast cenzusów urodzenia lub bogactwa wchodzić tu może w grę tylko cenzus pracy społecznej. Kto czynami wykazuje swoje oddanie sprawie publicznej, swój zapał w służbie na rzecz dobra zbiorowego, do tego można się zwracać po współdziałanie w każdej potrzebie państwowej. Powołanie do grona wyborców do Senatu obywateli przodujących w pracy na rzecz dobra zbiorowego jest taką demokratyczną korektywą powszechnego przedstawicielstwa. Jest to niewątpliwa zdobycz organizacyjna, która będzie wymagała jeszcze bardziej szczegółowego opracowania, zabezpieczającego udział we współpracy państwowej ludzi najbardziej odpowiednich. Nie należy tego systemu utożsamiać z t. zw. elitaryzmem. Przewodnicy społeczni są pewnym typem wyróżniających się pracowników społecznych, z tą rolą nie wiąże się jednak żaden przywilej.

Konstytucja polska zrywa z tradycyjnym podziałem trzech władz państwowych, swego czasu tak pożądanym jako środek ubezwładnienia państwa. Przechodzi ona na system organów państwa, mających swoje różnorodne funkcje i zogniskowanych w centralnym organie jakim jest Prezydent Rzeczypospolitej. Jednakże Prezydent niema tu charakteru „wodza” państwa, jest on tylko czynnikiem nadrzędnym, regulującym i koor-

dynującym działalność organów państwowych.

Całość tych urządzeń wiąże się w pewien skończony system ustrojowy, którego zadaniem jest służba dobru zbiorowemu. Kompetencje i stosunek wzajemny tych organów tak został pomyślany, aby osiągnąć w możliwie najwyższym stopniu to właśnie zadanie.

Słowem cały ustrój można traktować jako próbę realizacji państwa społecznego. Oparty na przesłankach ideologicznych solidarności społecznej, dąży on do skoordynowania w pozytywnej pracy twórczych wartości społecznych i do tego celu stara się odpowiednio przystosować organizację i działalność poszczególnych organów państwa.

BRONISŁAW LUDWIK MICHALSKI

SPOTKANIE Z BRZOZĄ

Znowuś rozpruł ciężką suknię nocy
 pazurami skróś srebrzącej pasji —
 pierś jej naga w obłokach się toczy,
 brzuch i nogi w ekstazie. — Nie zaśniesz!

Blask syreną zanurzył się w szybach,
 flety drzew brzęczą słodką kwiecistość —
 więc — wypływam jak kosmiczna ryba,
 pulsujący natchnieniem Mefisto...

Kołysany w płas rytmem wesolym,
 krążyć anioł strącony — pochodnia —
 kształt w olśnieniu zbratanych żywiołów
 ziemi, wichru i wody i ognia.

Z dna spiralą oślepiły ocean
 w żył cieśniny uderzył i płuca —
 tryska oddech — ptak przestrzeni śpiewa,
 w srebrnej chmurze go z piersi wyrzucam...

Gdy przez głowę — wieżę lśnień i napięć
 dziwotworów złogwiedznych obrazy —
 różę ciał niespełnionych, co przyjdą
 pachną w dni, dni — krwi burzą-s zamazał,

drogi w skały cierniste wypiętrzył,
 w mgłę. — Z mgły wieków jęk młotów — zakłęcia:
 — z grozy życia nas wybaw Najświętszy!...
 — wyzwól z śmierci strasznej objęcia!...

Obyś nigdy swych myśli ognistych
 w świat szumiący życiem nie rozpętał,
 snem, zapachem czerwcowym rozprysłych,
 nocą w miodnych kołysach i miętach;

w ciszy skłutej wszechspojrzeń iskrami,
 kiedy wierny w przemijań braterstwie
 obejmują drzewa ramionami
 i całują ich policzki czerstwe;

brzozie smutno spotkanej na drodze
 szepczę: — siostró strząśnij sen i ciemność,
 w sen i ciemność światłością ugodzę
 a zaszumisz weselem nade mną.

I zrozumiesz tajemnicę Przemian,
 w blask rozkwitła i — oczu seledyn —
 i nad źródłem westchniesz światłocienia
 i przypomnisz: — tak to było wtedy...

I scałujesz ten mój trud wzgardzony,
 gorejący skróś lata śmiertelne,
 zbłąkanemu za rajem straconym,
 zbłąkanemu w twą dziewczęcą zieleń.

Od 1 lutego

nowa serja korespondencji
 Z DALEKIEGO WSCHODU
 p. t.

„Czerwone i Niebieskie”

pióra A. Janty-Połczyńskiego
 specjalnego wysłannika
 GAZETY POLSKIEJ

ANKIETA PISMA „1933” O MŁODZIEŻY FRANCUSKIEJ

Nowy, żywy i ciekawy tygodnik francuski „1933” rozpisal w nr. 11 z dn. 20 grudnia ankietę pod tytułem: „Głos ma młodzież francuska” (Pour que la jeunesse française se fasse entendre), dla młodych francuzów i francuzek poniżej lat 25”. Redakcja dziennika wyjaśnia, że chodzi jej o „ś w i a d e c t w a” rzeczy widziane, fakty, doświadczenia osobiste, a nie o abstrakcyjne deklaracje, manifesty, popisy krasomówcze”.

„Pragniemy — pisze redakcja — z nową młodzieżą poznać warunki, w jakich bytuje

i pracuje, nauki jakie pobiera, rodzaje działalności, które jej odpowiadają i, przeciwnie, te które jej zostają narzucone przez wypadki”. A oto kilka wskazówek, które mają się kierować biorący udział w ankiecie:

„W działalności młodego człowieka społecznego, poświęconej przedewszystkiem pracy, którą nań nakładają trudności materialne, — ile może się jeszcze znaleźć miejsca na sprawy ducha, działalność społeczną, uczucie, sport — te elementy pełnego życia ludzkiego?”

Czy ten sposób bytowania odpowiada waszym ambicjom, smakom, dyspozycjom wewnętrznym (naturelles)? Czy sądzicie, że nauki waszych mistrzów i przykład zawodowców u starszych od nas godzą się z wymogami nowoczesnego życia i z waszemi własnymi potrzebami? Czy poczujecie się do solidarności ze swoimi kolegami, starszemi, czy przeciwnie, skłaniacie się raczej do traktowania zagadnień życiowych w nastawieniu umysłu czysto indywidualistycznym?

„Czy możecie określić, jeżeli istnieje, nastrój, właściwy waszej szkole lub waszemu zajęciu (l'esprit qui est particulier)”.

„Co myśli, czego pragnie młodzież francuska? Oto problem, który zajmuje, niepokoi, denerwuje z każdym dniem mocniej” — pisze „1933” w artykule wstępnym.

Podniosły fakt, że liczne wielkie narody Europy już miały swoje rewolucje młodzieżowe, że za granicami Francji młode generacje wojenne i powojenne są u władzy, do wykonywania której wniosły elementy „zdrowia, mocy, wymagań, nieraz dzikości lub heroizmu”, — autor artykułu mówi o stosunkach francuskich:

„Daleko do tego, by młodzież była krajowi podporą i przewodnikiem, aby przyniosła mu wzmoczoną żywotność, stała się ostoją entuzjizmu i egzaltacji. Młodzież francuska w kraju niezdeterminowanym, wahającym się, niepewnym swych przeznaczeń, jest elementem najmocniej dotkniętym przez troski materialne i niepokój. Lecz ponieważ w młodzieży znajdujemy najwięcej cierpienia, najmniej równowagi i poczucia bezpieczeństwa, — kto wie, czy nie jest ona dla kraju najpewniejszą ucieczką, źródłem energii bardziej męskiej, niż generacje dobrobytu. Dla młodzieży współczesnej życie nie jest rzeczą prostą, dobrem, z którego każdy może korzystać bez ograniczeń — a jest trudem często ciężkim, który wymaga wysiłku i odwagi, trudem nie wyzutom z poświęcenia i niebezpieczeństwa.

Podczas gdy w krajach sąsiednich młodzież już powiedziała swoje słowo i dokonała czynu, — we Francji młodzież milczy. Czy długo jeszcze czekać będziemy na jej godzinę, która wybije nicodwoła!nie. Być może krócej niż się wydaje”...

„A więc czas byłby dowiedzieć się, na co ta młodzież czeka, czego się obawia, jakie żywi nadzieje, czas przepatrzeć jej chęci, wierzzenia, wątpliwości. Nie poto, aby jeszcze raz podnosić próżną klótnię starych z młodymi. Nie chodzi o przeciwstawienie młodych francuzów tym, którzy są starsi o 20 czy 30 lat, mówiąc im, że ich poprzednicy już dość długo dzierżyli różne rodzaje władzy, i że nadeszła kolej zastąpienia ich. Bez znaczenia jest, czy ta kolej nadeszła, czy nie. Ważne jest to, że kryzys ekonomiczny dławi młodzież francuską, że bezrobocie odbiera tysiącom młodzieńców, młodych robotników, dyplomantów wszelką możliwość znalezienia zajęcia i jakiegokolwiek środków do życia; że trudności materialne oddalają od ich sztuki, od ich wybranych zajęć i zawodów nawet tych szczęśliwców, którzy mają jakiś fach; że niebezpieczeństwo zewnętrzne może wreszcie dziś lub jutro rzucić tych młodych ludzi na pola bitew i w ten brutalny sposób uprościć problem ich egzystencji materialnej.

Jeżeli młodzież powinna dać się usłyszeć, to dlatego, że jest tą częścią narodu, którą oczekują według wszelkiej pewności najtrudniejsze prace, ponieważ jest najmocniej dotknięta i z całą pewnością zagrożona”.

Takie troski spowodowały rozpisanie wyżej wspomnianej ankiety przez „1933”. Teraz należy poczekać na rezultaty ankiety, które dadzą się obserwować po 15ym lutego, terminie nadsyłania odpowiedzi.

ST. IGNACY
WITKIEWICZZNOWU TO SAMO AŻ DO ZNUDZENIA CZYLI
O ROLI ŚWIATOPOGŁĄDU W LITERATURZE^{*)}

II.

Możnaby zapytać poco mamy dążyć w literaturze do wyższych nateżeń, to znaczy do większej intensywności i radykalności w stawianiu i rozwiązywaniu problemów, w pogłębianiu psychologii aż do samego dna istoty ludzkiej i jej najsubtelniejszych włókienek, w precyzowaniu i rozszerzaniu światopoglądów, w wyrazistości przedstawiania uczuciowych stanów i ich konfliktów? Poco to wogóle? — ktoś z tamtej, bydlęcej raczej strony ludzkości, zapyta. Czy nie trzeba raczej dążyć do tego, aby literatura była tylko ułatwieniem dla beztrudnego przepędzania czasu po całodziennej pracy, lub zwierciadłem jedynie, w którymby pospolity człowiek, bez żadnego wyciągania go z jego sfery myśli na jakieś t. zw. „wyżyny ducha”, mógł oglądać własny swój świat bez żadnego wysiłku, albo conajwyżej aby doznawał on najzwyklejszego, życiowego czysto, podrażnienia ciekawości zdarzeniowej i sytuacyjnej i pospolitych fikcyjnych uczuciowych wstrząsów w zupełnym bezpieczeństwie tak ducha jak i ciała. Straszna wątpliwość: — może tak być powinno? a każdy, który chce czegoś innego, jest może warjatem i jednostką społecznie szkodliwą?

Logicznie wprost nie da się odeprzeć wymienionego stanowiska — jest ono zupełnie uprawnione — można tylko dowodzić czegoś przeciwnego drogą dookólną, opierając się o takie pojęcia, zresztą uważane za dość nieokreślone: jak 1) postępek, 2) hierarchia tematów, 3) wyżej wymienione, a dla niektórych, wyhodowanych na spłyczmiczniejszym, zupełnie fikcyjne „wyżyny duchowe” i tak dalej. Można wreszcie opierać się o twierdzenia, takie, niczem pozornie ważkiem nieuzasadnione, jak to, że 1) metafizyczny niepokój wyższym jest stanem od duchowego kwiatyżmu, 2) że stawianie choćby nierozwiązalnych może nawet zagadnień filozoficznych wprowadza nas w stan wyższy, niż partja brydża, 3) że kwestja światopoglądu jest tak samo ważna nawet dla najprostszego człowieka, jak kwestja podstaw jego materialnej egzystencji, i o tym podobne truizmy, w których ważność przejawia się dziś zupełnie wierzycielsko tak zwanych „ludzi trzeźwych” i praktycznych, wychowując się na spływającej wszystko w czambuł literaturze i krytyce literackiej, która, uważając filozofję za bzdurę, nie wysuwa nosa poza najprostsze życiowe kontyn-gencje. Następuje to przefalszowanie wartości, w którym zwyczajny człowieczek uwielbia zaczyna literata i krytyka, mówiącego do niego tym samym językiem, którym on mówi o swoich codziennych sprawach, nie wymagając od niego żadnego wysiłku umysłowego i pogłębiania się, któreby go kosztować mogło^{*)}. Lekko, dowcipnie, tanio zabawić zmęczonemu życiem obywatela, polaskotać go trochę, żeby się pośmiał biedaczyna i uspić tanią frazeologję dowodzącą, że wszystko jest takim, jakim jemu, temu zwykłemu człowiekowi, się wydaje: — niech śpi spokojnie i jutro wstanie rzeźwy do pracy.

Może i trzeba tak z pewnego punktu widzenia, ale jeśli człowiek ma dbać o swój prymat w naturze, jeśli ma zachować poczucie swej wyższości, ponad-bydlęcej wartości, jeśli ma mieć wgląd w zagadnienia, przechodzące praktyczne wymagania codziennego dnia, to musi popelniać ciągle ten wysiłek wyszarpujący go z codzienności i ukazujący mu jakiś wyższy sens istnienia, choćby tylko w idealnej koncepcji oderwanej, nie dotyczącej bezpośrednio jego rzeczywistości, i choćby proces ten uświadomienia był nawet czasem bolesnym i początkowo nie dawał od razu obiecanych przez propagujących go wartości. Ci właśnie, co przeszli już prymitywne jego stadia, wiedzą napewno, że po drugiej stronie niedo-

stępnych pozornie gór jest coś, dla czego warto było je zdobyć i spojrzeć z innego niż własne podwórko punktu widzenia na świat, który bądź co bądź zdaje się raz tylko na całą wieczność się ogląda.

Mam pewność, że to było zawsze i jest dotąd celem literatury. Tylko podobnie jak w malarstwie rozpanoszenie się realizmu i zdemokratyzowanie twórczości — w tem znaczeniu, że większa ilość zaczęła się jej oddawać, a jakoś poszczególnych wyczynów straciła na wartości — doprowadziło do podstawienia za czystą sztukę i za literaturę tak jak wyżej pojętą (to znaczy pojętą jako środek choćby chwilowego przezwyciężenia życiowego poglądu na świat) świata dokładnie przedstawionego, czyli, jak się dziś mówi, tak zwanej „rzeczywistości zastanej”, nieprzetworzonej w żadną indywidualną wizję całości istnienia, rzeczywistości, która się bezmyślnie opisuje, nie mając w istocie nic o niej do powiedzenia z jakiegoś szerszego punktu widzenia. I nie chodzi o to, aby światopogląd był explicite w danem dziele literackim wykładany: wystarczy aby był w tle — ale żeby naprawdę był u autora, a wszystko, nawet najnieciekawszy kącik tej przekłetej „zastanej rzeczywistości”, zupełnie inaczej się przedstawia. Może ten punkt widzenia nawet nie był u autora jasno pojęciowo sformulowanym, może być zaznaczony zaledwie jako „napięcie kierunkowe”, ale niech będzie choćby w formie mgławicy; niech to tło wewnętrzne nie będzie tem bydlęcym, płaskim t. zw. trzeźwym, ohydny nastawieniem codziennego dnia najpospolitszego jakiegoś duchowego aferzysty czy byznesmana, bo wtedy rysująca się na jego tle nieszczęsna „zastana rzeczywistość” przybiera formę skondensowanej pospolitości, której wszyscy mamy po same gardła w życiu.

Otóż ja żądam kategorycznie od pisarza, aby mnie par force swemi indywidualnymi środkami, temi, któremi sam ze sobą postępuje, wydarł z tej rzeczywistości, w której żyje i ukazał świat na nowo w wymiarach jego metafizycznej tajemnicy i urody. Może przytem autor nademną się zniecać w dowolnie potworny sposób, o ile zapłaci mi za to w tym innym wymiarze: może mnie skopać w brzuch, nadpluć w mordę jadawitą śliną, i celnem uderzeniem w zadek strącić w przepaść i za włosy z niej następnie wyciągnąć, może mnie nawet skąpać w kloace życia pod warunkiem, że obmyje mnie potem jakimś metafizycznym fluidem i wyciągnie na nieznany szczyt, z którego widok wynagrodzi mi potworności nizin, potęgające piękność grozy zjawisk szczytowych.

Tego wymagam od literatury i zdaje mi się, że na dnie gdzieś starannie ukrytem tego samego wymaga każdy nawet przeciętny człowiek. Ale wszystkie wyższe wartości, te których ważności logicznie czysto udowodnić się nie da, musi się z człowiekiem gwałtem wydobywać, gdyż ma on daną właściwość przystosowywania się, bez której nie mógłby nawet żyć, ale która ma znów to do siebie, że ciągnie na łatwizny, płycizny i inne mielizny ducha; jest to pęd naturalny, któremu właśnie — zamiast mu się poddawać — musimy się świadomie przeciwstawiać, o ile nie mamy zrezygnować programowo z tych wszystkich wartości uświadomienia, które obok zdolności opanowania natury, jako drugorzędny dar, poprostu mówiąc w przenośni „z nieba”, dał nam, udzielony kiedyś jakiemuś jaszczurowi w tryasie, kawałek kory mózgowej, rozwinięty w nas do tak niebywałych granic komplikacji i sprawności.

I znów ta okropna wątpliwość, na której nieodpartość logicznej opierając się, starają się spryciarze całego świata zniszczyć nasze wszelkie wyższe myślowe możliwości: „może to wszystko jest złudą, a świat jest odtąd — dotąd, jak nam pogląd życiowy wierzyć każe”. Odproblemieć filozoficznie Istnienie, szczególnie w naszych czasach rozwoju nauki i techniki, które dla przeciętnego człowieka stają się bożyszczami, przerażającymi w swej ważności wartość nadawaną im nawet przez swych twórców, szczególnie jeśli chodzi o naukę, jest bardzo łatwym zadaniem. Ukazanie niepokojących ośrodków ostatecznych zagadnień, których sam

fakt rozważania automatycznie wznosi nas na wyższy poziom ducha, jest czasem na tle życiowego spospolicenia i antymetafizycznego nastawienia przeciętnego człowieka, bardzo ciężkie, z powodu braku odpowiednich środków do wykonania. Wszystko z tem dziś walczy od samego przebudzenia się aż do wiecznego zamknięcia oczu człowieka normalnego po dniu pełnym gorącego zmagania się z pospolitością, która nas zalewa i zatłamsza. Pospolitość ta oczywiście większa w swych materialnych objawach w warunkach materialnie gorszych, nie jest jednak wyłącznie udziałem ludzi materialnie upośledzonych. Ta pospolitość, o której mówię, jest wyższego typu: jest to pospolitość ujęcia życia w czystym poglądzie życiowym, a nie życie samo jako takie — jej gniazdem może być pałac księcia krwi czy bankiera, czy też meza stanu, na równi z tak zwaną „lepianką nędzarza”, a pogląd, o którym mówię i który wynosi nas ponad codzienność — codzienność oczywiście w znaczeniu filozoficznym nie życiowym — może być teoretycznie udziałem ludzi, których zewnętrzność życia jest nawet szczytem pospolitości. Pogląd ten, ponadżyciowy, jest w najistotniejszych swych właściwościach niezależny od warunków i każdego, kto go posiadał, niezależnie duchowo od życiowych przypadków.

Dzisiejsza literatura zamiast wyrwać człowieka przytłoczonego codziennością z jego życia, wdętuje go jeszcze głębiej w bagno pospolitości, dlatego, że większa część ludzi piszących składa się z osobników, które nie wyrwały myślowo ponad związki najbardziej pospolitych zdarzeń osobistych czy społecznych. Rzecz jasna, że nie mówię tu o jakiejś tak zwanej bańkowej fantazyjności, ani o religji, której znaczenie zmniejszyło się znacznie na skutek życiowych kompromisów kościołów i zmechanizowania się uczuć, które kiedyś tworzyły żywe kultury, mające moc wychowania ludzkiego stada i ukazywania mu nowych dróg. Proces ten, współdziałania sił społecznych i religijnych, skończył się — zdaje się — definitywnie w dzisiejszych czasach. Mówię tu wyłącznie o uświadomieniu co do filozoficznej problematyki, które to uświadomienie może być punktem wyjścia nie dających się obliczyć transformacji osobowości ludzkiej, co nieraz już sam obserwowałem na sobie i innych.

Przeciwdziałam temu kierunkowi, który propaguję, nietylko rodzaj samej bezpośrednio twórczości — nie dość na tem: wytworzyła się cała ogromnie rozwinięta ideologia, występująca pod znakiem „walki z metafizyką w sztuce”, metafizyką, którą szczególnie w jej realistycznej postaci, zupełnie niesłusznie utożsamia się z zacofaniem społecznym, z jakimś artystycznym arystokratyzmem, czy też poprostu ze zwykłą bzdurą. Ma ideologia ta na usługi umysły wcale nie ostatniej jakości jako takie, tylko znieprawione i fałszywie nastawione. One to pracują usilnie, aby ostatnie iskierki wyższych poglądów na rzeczywistość zdeptać i stłumić ogień żądry poznania u przeciętnego człowieka, zastępując go płaskim materializmem fizykalnym (który zupełnie nie musi być koniecznie ideologią najbardziej radykalnych kierunków społecznych) lub w najlepszym razie tanim sceptycyzmem i relatywizmem. Nie widzą ci panowie, że gdyby od początku powstania myśli ludzkiej tak postępowano, to nie byłoby wogóle ani kultury, ani nauki, ani sztuki, nie byłoby tych samychże sofistów, których powstanie jako zdegenerowanego odpadka myśli możliwe jest tylko na jej już osiągniętych pozytywnych szczytach.

Oczywiście gdy fala spospolicenia i nieuctwa dosięgnie wreszcie jej inicjatorów, będą oni poniewczasie żalować swej działalności i zacząć wtedy nawoływać, wychowane przez nich samych zastępy intelektualnej holoty, do poprawy, jak to już teraz na niektórych odcinkach się dzieje. Ale wtedy może być zapóźno i sąd historii o twórcach tego stanu rzeczy może kiedyś być straszny, o ile oczywiście nie zjelepiejemy tak, że nie będziemy mogli nawet widzieć własnego upadku, co też już dzisiaj daje się w nie-

których „sferkach” zaobserwować. Optymizm jest bardzo dobrą rzeczą, ale w miarę i wtedy gdy jest czem się cieszyć naprawdę po dokonaniu wielkich wysiłków. Ale ciągłym nawoływaniem się i wmawianiem w siebie, że jest dobrze i fałszywą pozytywną interpretacją pewnych zjawisk z przeszłości, jak również usprawiedliwianiem się tą przeszłością i krótkotrwałością niezależnego bytu, doszliśmy do zupełnego braku samokrytycyzmu i cieszymy się byle czem, jak małe dzieci. A przyszłość jest groźna i tylko mówieniem sobie i innym prawdy w oczy z całym okrucieństwem, tylko budzeniem okrutną krytyką zasypiającego już młodego pokolenia, możemy odwrócić nadiągający nieuchronnie upadek naszej kultury. Ale w pewnych sferach każda praktyka uważa się za zdradę, a cenione są raczej płaskie optymizmy i głośnie tanie nawoływanka, zamiast podawania środków na groźące niebezpieczeństwa.

Kardynalnym środkiem jest forsowna umysłowa praca ludzi piszących i popularyzatorska praca ludzi nauki w dziedzinie filozofji, mogąca dać w ręce środki do podniesienia się tym, co jeszcze podnieść się pragną. Bez odpowiedniej literatury wprowadzającej i przygotowawczej ogromnie trudny jest początek dla ludzi, zrażających się najmniejszymi trudnościami istotnymi, t. j. wmaganiem myślenia, od którego w łatwym umysłowym życiu odwykli, i terminologją. Niestety nie o wszystkim można pisać tak zwanym językiem potocznym. I o ile z jednej strony przerost zbytecznej terminologii, jak również dzika, odbiegająca od rzeczywistości w hypostazy myślowe, spekulacja są szkodliwe, to z drugiej strony specjalna terminologia jest konieczna i nie pomogą blagi tych, którzy brak filozoficznego światopoglądu za nowy pogląd chcą podawać — i to poza granicami kwestji i prawdy i fałszu: dla takich bzdur może wystarczyć język potoczny — jak również to zabójcze zdanie o lekkim i dowcipnym żonglowaniu stupodowemi ciężarami.

Wszystko to dobre jest jeszcze na pewnym poziomie, w pierwocinach ducha, w których tkwi nasza wychowana przez spłyciarzy publiczność, ale o postępie wśród takich idei nie może być mowy. Wydanie słownika filozoficznego^{*)} i przetłumaczenie głównych prac zasadniczych kierunków dzisiejszej filozofji zagranicznej^{**)} jest według mnie pierwszym obowiązkiem ludzi nie chcących, aby za lat 20 lub 30 uznano nas za bandę skretyniałych wesolków. Nie mogę pogłębić tutaj tego tematu, ponieważ byłbym pewno posądzony o niejasność i niezrozumiałość, jakoteż z powodu braku miejsca. Rozwinę te myśli w artykułach, o ile oczywiście będę je miał gdzie wydrukować, o czem mogę zawiadomić zainteresowanych. Oczywiście chodzi tu o ilościowe różnice poziomu, bo nawet nasi najbardziej programowi antyintelektualiści, intuicjoniści świadomi i podświadomi, spłyciarze i dowcipiarze muszą być, czy chcą czy nie chcą, w pewnym sensie intelektualistami choćby z pozoru, aby się wogóle na powierzchni utrzymać. I oni używają terminów, takich jak: „głupi”, „osiol”, „idjota”, „bzdura”, „nonsens” i tym podobnych, tylko że operują sami koniecznym minimum, nie chcą wznosić się na istotnie wyżyny, bo to minimum wystarczy im na ich autorytet wobec niskiej marki publiczności, wystarcza im na krytykę, czasem oczywiście słuszną, rzeczy, będących już poniżej wszelkiego, godnego zanotowania, poziomu.

Ale straszny jest ten typ młodego literata, który zachęcany do umysłowej pracy, mając za sobą parę zdradzających nawet talent książek, mówi: — „ja mam czytać?

^{*)} Tym którzy nigdy nie widzieli słownika filozoficznego, radzę obejrzeć ten przyrząd w wydaniach zagranicznych. Jest to spis terminów z definicjami w zależności od różnych znaczeń u różnych filozofów.

^{**)} Myślę głównie o psychologach jak Mach, Avenarius i stanowczo niedoceniany Cornelius, o Husserlu, witalistach niemieckich i materialistach angielskich i amerykańskich, o Whiteheadzie. Wszystko to np. są rzeczy mnie przeciwnie, ale zapładniające i dopingujące w najwyższym stopniu.

^{*)} Odczyt, wygłoszony dn. 7 grudnia 1933 r. w Związku Zawodowym Literatów Polskich w Warszawie.

^{**)} To samo zaczyna się dziać, ale na szczęście na bardzo małą skalę w filozofji, Patrz, kocie, krytykę Chwistka w „Zecie” z r. 1933.

poco? ja jestem przecie pisarzem! (—to jest autentyczne zdanie!). Chwała nieznanym po-
tęgom, że dziś u nas człowiek nie wiedzący
np. o Koperniku i jego odkryciu byłby uwa-
żany za niekulturalnego — bo to byłby już
wstyd. Nawet niejeden powstydziliby się nie
wiedzieć kim jest dla współczesnej nauki
Einstein — choć tu wielu już mieszczą wzglę-
dność fizykalną, ubezwzględniającą nasze po-
znanie, z względnością prawd życiowych i
filozoficznych. Ale człowiek piszący, nie
mający żadnego światopoglądu, nie mający
pojęcia o problematyce filozoficznej i nie
starający się wcale o tego światopoglądu
zdobycie, nie wstydzi się swej ignorancji i
niedojrzałości bynajmniej — nawet z pew-
ną wyższością patrzy na tych omamionych,
którzy się tą — według niego — subiektyw-
ną bzdurą zajmują. On sam pisze przecie
książki! I cóż z tego, jeśli zawarty w nich
światopogląd nie przekracza jego własnego
podwórka, kilku sąsiednich ulic i szynków?
— publiczność, mająca ten sam pogląd, bę-
dzie z niego i tak zadowolona. — Czyż
warto więc czegoś się uczyć, o coś starać
i pracować? — Wystarczy tylko — pisać.

Ale wiadomo na jak niedługo starczy
samo napięcie talentu, sprawiające, że nawet
zwykły jelop coś dobrego z początku zro-
bić może. I błądzą potem po świecie całe
tabuny wyprztykanych młodzieńców, za-
gwałdzających swemi zionąciami pustką wy-
pocinami nasze, godne może lepszej strawy,
umysły. Nie chodzi zupełnie o to, aby wszy-
stkie powieści były traktatami filozoficzne-
mi — niech będzie najdziksza nawet różno-
rodność od najpaskudniejszej wagonowej
tandety treściowej, aż do najwyższego ga-
tunku romansu filozoficznego. Przecież ja
nie mówię, aby wszyscy mieli mieć mój
światopogląd, który mogę za prawdę abso-
lutną uznawać i innych o niej przekonywać.
Niech wiedzają czort wie co, ale niech wy-
znają, niech będą umysłowami strukturami,
a nie gąbczastymi jamochlonami, nie różniąc-
ciami się poza talentem od najprzeciętniejsze-
go obywatela.

Prawda ostatecznie sama wypłynie — ona
się stwarza automatycznie w walce różnych
poglądów, które samo istnienie w swej za-
sadniczej różnorodności, a przedewszyst-
kiem podstawowej dwoistości: indywidualum
i świata oraz indywidualum i gatunku, a dalej
społeczeństwa, stwarza. Ale aby ta walka
była, muszą być poglądy. U nas nie walczą
wielkie poglądy ze sobą, tylko małe nastaw-
ienia życiowe. Nikt z literatów i krytyków
naszych nie ma określonego systemu po-
jęć — wszystko to są, zawarte implicite w ich
życiowych poglądach, nieoczyszczone pół-
poglądziiki częściowe, które tylko przypad-
kowo, a nie przez oparcie o pojęcia podsta-
wowe, kupy się trzymają.

Naturalnie każdy mi powie: gdzie pan to
wszystko widzi? — gdzie ten upadek? —
mamy to, i to, i tak dalej — a pan kracze,
bo sam pan czuje się niepotrzebny. Otóż to
samo mówiono mi à propos teatru, kiedy
ostrzegalem o nadchodzącym jego artystycz-
nym upadku i to zupełnie nie dlatego, że
nikt sztuk moich grać nie chciał, a kiedy
grano — to padały jak długie odrazu. I te-
raz mówię to nie dlatego, że nikt nie chce
czytać moich rzeczy. To inna zupełnie sprawa.
Zresztą — co innego są tak zwane utwo-
ry a co innego — praca teoretyczna. A na
zarzut ten, który każdy zrobić może: „no
dobrze, ale czego pan sam dokonał?” —
mogę tylko odpowiedzieć, że sam zrobiłem
co mogłem, aby moją pracę uintensywnić
i że może jeszcze byłoby gorzej, gdybym
tego nie zrobił.

Przedewszystkiem literat powinien wie-
dzieć, kim jest sam dla siebie, a potem w
stosunku do drugich. U nas on dowiaduje
się o sobie ze stosunku do innych na samej
swojej peryferji. Co jest w jej wnętrzu, gdy
nazwewnątrz jest dobrze, — to go nie ob-
chodzi. Nie chcę mówić w tej chwili gło-
sownie o przedostatniemu pokoleniu. Mu-
siałbym zabrać się sumiennie do przestudjo-
wania jego dzieł i napisać olbrzymie stud-
jum, którego by znowu nikt nie przeczytał.
Zarzuty przeciw tym literatom też możnaby
postawić znaczne, ale to są już ludzie do
pewnego stopnia skończeni. Może uda mi się
kiedyś zanalizować te typy szczegółowiej.
Ale to wymagałoby kolosalnej pracy, jeśli
nie chciałoby się poprzestać na ogólnikach,
którymi operuje dzisiejsza krytyka. W każ-
dym razie miałbym określony punkt widze-
nia i stawiania zarzutów: antymetafizycz-

ność w znaczeniu nieprzezwyciężenia życia
wego i materialistycznego światopoglądu i
brak określonego poglądu pozytywnego. Ale
przedewszystkiem chodzi o tych, co obecnie
zaczynają, opierając się na niesłychanie słabych
podstawach pokolenia poprzedniego, a
straciwszy związek z pokoleniem przedwo-
jennym, operującym kolosalnymi napięciami
uczuci społecznymi i narodowymi, które da-
wały dostateczne ciśnienia dla artystycznych
i literackich motorów jego przedstawicieli.

Proszę nie myśleć, że wyrażam tu pogar-
dę dla tych, co nie mogą się rozwinąć z po-
wodu braku danych wewnętrznych — tych
należy tylko żałować. Ale do szalu pogardy
i wściekłości doprowadzają mnie te ultra-
zdolne i sił mające wbród — zdrowe byki,
które przez lenistwo, kokieteryję w stosunku
do publiki, walkoństwo i bezład życiowy,
dodane do trudnych warunków bytu, marnu-
ją najcenniejsze swoje dane, w czasie życia
najniebezpieczniejszym, w którym na całą
swą egzystencję raz ma człowiek sposob-
ność stworzenia siebie i nalażenia swych
akumulatorów. A starsi panowie nie dają
pod tym względem dobrego przykładu.

Wstrętny jest dla mnie ten typ literata
nie piszącego przedewszystkiem dla siebie,
tylko obliczającego efekty, ostrzeliwującego
ciągłe publikę, korygującego zależnie od jej
stanu celowniki w zależności od najlżej-
szych zefirków nawet w bezpośrednim oto-
czeniu. Dawniej literaci przedwojenni pod-
ciągnęli czytelników do siebie — dziś młody
hubek pelza na brzuchu przed rozwaloną
bezczelnie klempą-publiką i stroi dzikię
przed nią błażenia, aby raczyła uśmiech-
nąć się i rzucić mu jakieś ochlapy. I tu
przyznać trzeba, że kultura dowcipnictwa i
lekkości, i związana z nią walka z metafizy-
ką w sztuce, fałszywie rozumiana jako do-
wolna bzdura, nie oddały dobrych usług o-
gólnej kulturze kraju. Dowcip — to bez-
względnie dobra rzecz — ale w miarę! Musi
on bowiem doprowadzić do spłykania, bo
dowcip najbardziej się robi właśnie dla ko-
goś, a nie dla siebie przedewszystkiem;
bardziej czyni on zależnym od słuchaczy,
zmusza do szukania bezpośredniego od-
dźwięku i kompromisów, które kończą się
na tem, że ze zdolnego literata robi się zdol-
ny, a dalej wyświechtany błazen. Trzeba być
tytanem w innych sferach wartości, aby na
dowcipie nie zjechać w niziny i męty lite-
rackiej pracy. Jest on z istoty swej mniej
moralny od innych rodzajów stosunku do
rzeczywistości.

Literaci, produkując towar dla przecięt-
nej publiczności, zmuszają też i elitę inteli-
gencji do karmienia się ich produktem, i eli-
ta ta musi z braku odpowiedniego pokar-
mu również powoli zeszkapić. A poza tem
— poziom walk. Z powodu krótkości niniej-
szego odczytu nie wspominałem dotąd naz-
wisk, ale walka Boya i Irzykowskiego rzuca
się w oczy z taką siłą, jako klasyczny przy-
kład upadku obyczajów w walce literackiej,
że nie można już jej zatłwić ogólnikami.
Uważam ją za fakt tragiczny i typowy je-
dnocześnie, który pewno na długie lata ob-
niżył poziom naszych polemik. Nie jestem
wielbicielem bezwzględny Irzykowskiego,
ponieważ uważam, że mając olbrzymie da-
ne, nie wiadomo czemu nie osiągnął tej pre-
cyzji światopoglądu i systemu pojęć, do ja-
kiej był predysponowany. Wbrew utartemu
głososłownemu pogładowi: Irzykowski me-
todę ma, ale światopoglądu nie ma. Uznaję
Boya w jego właściwym zakresie, ale nie
mogę uznać, że jest to największy pisarz
polski, jedyny mędrzec i filozof. Nie uznaję
go, gdy apodyktycznie zabiera głos w spra-
wach, na których się nie rozumie, których
nie przemysłał i co do których nie ma o-
kreślonego systemu pojęć — wtedy jest na-

pewno mimowoli szkodnikiem, ponieważ
jest pozbawiony demonicznych elementów
duszy. Walka tych panów jest przykładem
klasycznym tego, do czego doprowadza brak
rzeczowej polemiki w porę przeprowadzo-
nej i pozbawionej pierwiastków osobistych.
Zamiast odpowiedzieć rzeczowo na zarzuty
Irzykowskiego — Boy je przemilczał, albo
odpowiadał przytkami. Doprowadził tam-
tego do szalu i reakcji, jakkolwiek w wielu
punktach słusznej, to jednak przesadzanej
w kierunku ujemnym; i na tę reakcję odpo-
wiedział w sposób niegodny siebie: między
innymi dowcip Irzykowskiego o zawiści
wziął zgłupia frant na serjo i wytłomaczył
demagogicznie gawiedzi, że Irzykowski sam
się przyznał, że cała jego przeciw Boyowi
działalność płynie z jego zawiści w stosun-
ku do Boya. Tak nie można — to jest bar-
dzo fe i nieładne, tak samo, jak wmawianie
Braunowi, że tylko z osobistych pobudek
na niego się rzucił. Przecież Braun*) mógł
od dawnych czasów zrobić postępy, a Boy
się cofnął. Tej wersji nikt za prawdziwą
nie przyjmie w związku z inwektywami
Boya i ślepem dla niego uwielbieniem w ob-
rębie jego klanu — a zdaje się że tak jest
właśnie w istocie. Honorowość walk i po-
szanowanie przeciwnika zostało zachwiane
i zły przykład na długie lata dany. To się
tak łatwo odrobić nie da — w ten sposób
będą się teraz katrupić różni młodzieńcy, za-
miast prowadzić szlachetny spór z dowoda-
mi i argumentami.

Zresztą są splyciarze szczerzy i progra-
mowi. Ci ostatni podlizują się publiczności
z całą świadomością swej istotnej zamasko-
wanej nad nią wyższości, między wierszami
dając dyskretnie wyraz dla swej pogardy
zrozumiałej dla wtajemniczonych.

Nikt nie chce osiągnięcia prawdy samej
dla siebie, tylko chce mieć rację wobec tłu-
mu — stąd demagogiczność i pływaczność ar-
gumentacji. Nikt w prawdę nie wierzy,
tembardziej, że naukowe poważy w rodzaju
Leona Chwistka, oparte o złudny w prakty-
ce, a słuszny może w jej własnym zakresie
autorytet logistyki, głoszą absolutną relatyw-
styczną beztróskę w świecie, według nich
tak niecisłym, jak filozofja i estetyka.
Chwistkowi też, który podjął się nie-
wdzięcznej roli teoretyka, usprawiedliwiają-
cego całe to nieszczerze zamieszanie pojęć
i dającego broń w rękę kretynerji przeciw
przejaśnieniu się pojęć, należy się po Sło-
niskim niezbyt zaszczytny tytuł apologety
krytyczno-literackiego balaganu u nas**).

Jeśli w najbliższym czasie nie rozpocznie
się ponadpartijna, uczciwa, pozbawiona
osobistych elementów, walka czysto poję-
ciowa, o podstawowe pojęcia filozoficznego
światopoglądu i estetyki w związku z litera-
turą, i jeśli nowy narybek literatów nie za-
bierze się do forsownego odżywiania i gim-
nastykowania swych zagłodzonych i sflac-
czonych w nieróbstwie mózgow, grozi nam
zupełne kulturalne zejście na psy.

Jeśli na poruszony przezemnie temat i
tym razem nie rozpali się powszechna dys-
kusja, będzie to dowodem, że upadek za-
szedł już dalej, niż to dziś przypuszczamy
i że chyba jakiś kataklizm może otworzyć
oczy zaspanych leniwców na groźbę położe-
nia. Jeszcze raz powtarzam, że nie wymy-
słam na wszystko jako człowiek, czy pisarz
nawet, rozgorczyzony osobistym niepowodze-
niem, tylko jako konsument literatury, który
nie ma co czytać i jako teoretyk, który nie
ma z kim gadać i do kogo się zwrócić, prócz
paru fachowców i przyjaciół.

*) Zaznaczam przytem moją zasadniczą
niezgodę z kierunkiem „Zetu” tak filozoficz-
nym, jak i społecznym.

**) Patrz, złotko, rocznik „Zetu” z r. 1933.
„Leon Chwistek — Demon Intelaktu”.

PAMIĘC



WINCENTY DRABIK

HALINA A. J. KRÜGER

WINC. DRABIK — POCHWAŁA PIĘKNEGO ŻYCIA

Dnia 1 lipca 1933 r. umarł Wincenty
Drabik. Umarł nie tylko człowiek ale i jego
dzieła — bo taki jest los ludzi teatru. Zadne
też życie nie jest tak — jak ich, ze sztuką
splątane — jakby w przygotowaniu na tę
śmierć — wspólną.

To, co po nim zostało, te wszystkie szkice
i projekty — ma niezaprzeczoną wartość
dzieła sztuki, ale znajduje się w takim sto-
sunku do jego rzeczywistej pracy, jak i fo-
tografia umarłej dziewczyny w zestawieniu
z jej żywym wdziękiem. To jest tylko doku-
ment jego artystycznej wartości, a nie sama
wartość. Pełna wartość — to był on sam —
człowiek i artysta. Nawet właściwa forma
jego sztuki — inscenizacja — dając pełne
wzruszenie artystyczne, nie działała tak su-
gestywnie, jak wspólna z nim praca, czy też
rozmowa o sztuce. Drabik — to był ciągle,
nieustający entuzjazm teatru. — Entuzjazm
zapładniający.

Miarą zaś wartości Drabika, było to, że
była to atmosfera zgola nichisteryczna, —
daleka od wszelkiego patosu. Jego miłość
teatru — była zdrowym przywiązaniem do
wybranej pracy całego życia. Możliwość się
wyrazić, że był to fanatyzm, ale fanatyzm
spokojny. Gdyby Drabik nie był malarzem
— tak kochałby swoją ziemię, na którejby
pracował. Tą ziemią — stał się dla Niego
teatr.

Klimat psychiczny jego pracy twórczej
czy pedagogicznej — nie zawierał efektownych
nastrojów. Działał on czemś innym. Był
to głęboki orok jego sentymentu do teatru.
I sentymentu tego naiwności. Niesłychana
prostota Jego stosunku do sztuki — była
pewnego rodzaju miarą moralności artysty-
cznej klimatu Jego pracowni. Przez pracow-
nię tę, przechodziła masa ludzi — ucznio-
wie, słuchacze, wielbiciele i zwykli gada-
cze — każdy kto zmanifestował swój sen-
timent do spraw teatru, miał do niej wstęp.
Drabik gorączkowo poszukiwał talentów.
Wierzył w ciągłość sztuki i chciał mieć na-
stępców. Stąd Jego nieomal pietyzm w sto-
sunku do każdego poczynania artystyczne-
go. Jego wykłady — były to dla Niego po-
zukiwania, niemniejszej wagi od Jego pracy
twórczej. Charakterystycznym było, że o-
becność Drabika wykluczała wszelką sztucz-
ność atmosfery. Nie do pomyślenia był jaki-
kolwiek fałszywy patos w Jego obecności.
Patos, który istnieje prawie zawsze w śro-
dowiskach ludzi pracujących nad teatrem.
Klimatem pracy Drabika był entuzjazm —
nie egzaltacja. Poza charakterem osobistym
Jego stosunku do sztuki — był to jeszcze
pewien instykt, ogromne poczucie smaku,
jakiem Drabik rozporządzał, a które nie
pozwalalo mu na najmniejszy choćby cień

JUŻ WYSZŁO Z DRUKU
WACŁAWA BERENTA

ONEGDAJ

mowa miana przy otwarciu Akademii Literatury
z drzeworytami ST. OSTOI-CHROSTOWSKIEGO

Cena egz.: na papierze zwykłym zł. 2.—

na papierze simili japońskim, egzemplarze podpisane przez W. Berenta
i St. Ostoję-Chrostowskiego zł. 9.—

I WINCENTEGO DRABIKA

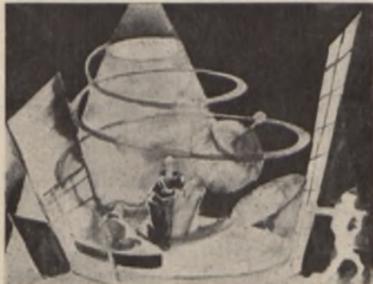
zakłamania. W Jego zewnętrznym stosunku do sztuki, nie było to maskowaniem odczuć, — tylko nieprzecenianiem ich. Orientowaniem się świetnym w ich skali. Stąd może pochodzi ta ogromna rozpiętość charakteru prac Drabika, że zdawał sobie doskonale sprawę z różnicy między odczuciem i potrzebą zadowolenia artystycznego — a wzruszania się dziełem sztuki.

To samo nicomal można powiedzieć o jego ustosunkowaniu się do ludzi. Miał poczucie skali. Było to (przy całej życzliwości, a nawet naiwności Jego stosunku do ludzi) szybkie i nicomylne wyczucie wartości człowieka, w bardzo daleko idącym uniezależnieniu od jego stanowiska. Jego bezwzględna kurtuazja dla wszystkich, którzy się z nim zetknęli — Jego koleżeńskość i wielki wdzięk osobisty — wykluczały jednak możliwość jakiegokolwiek niechcianej poufności i doskonale pokrywały wielką splendor isolation. Umiał doskonale, paroma słowami, uśmiechem, sposobem podania ręki, czy tonem rozmowy naznaczyć taki, czy inny dystans. Niekiedy był to dystans bardzo mały — niekiedy odsunięcie na bardzo daleki — ale zawsze zależny od Jego woli — nie do przestąpienia. Drabik nie był nigdy bratem-łatą. Myślę, że wynikało to właśnie z Jego chłopskiego pochodzenia — bo przecież chłop posiada największą dozę godności osobistej. Wogóle nie był cyganem. Nie znosił niechlujstwa cyganerii, jej historycznego życia i bezładnej pracy. Jego życie było pełne ład. Przy ogromie swej pracy, umiał szczerze korzystać z urdy życia i umiał się niem cieszyć. Była w nim renesansowa miłość życia. Kochał się w wytworności stroju, w wesołej rozmowie (jakże trudno było omijać teatr), i wreszcie (abstrahując od spraw sztuki) w pięknym geście. Nie był fałszywym prorokiem kabotyńskim. Był człowiekiem i artystą.

I znaczenie Jego w sztuce — dla nas ogromne — polega właśnie na równowadze jego sztuki i życia — na tępym splątaniu elementów — na jego najwnikliwszym interesowaniu się każdym przejawem życia artystycznego, na ciągłej nieustającej inicjatywie w tym kierunku.

W tej dziedzinie zestawić go można najsluszniej ze Stefanem Zeromskim.

Wywodził się tak samo z romantyzmu.



— Przebył ten ogromny luk — od artystycznej utopji — do artystycznej rzeczywistości — aż stał się artystą Polski istniejącej. Tak samo wypracował (własnym życiem i teorią) nowy sens bytowania artysty w państwie odrodzonym i tak samo był na

szem artystycznym sumieniem. Dzisiaj, kiedy polska rzeczywistość realizuje powoli testament Stefana Zeromskiego — przyjdzie kolej i na zrealizowanie marzenia całego życia Wincentego Drabika.

Było to życie prawdziwie piękne.

Nigdy niczego nie pragnąłem, jak tylko doczekać się tego szczęścia, że w Polsce jest teatr taki, jakiego nie ma nigdzie na świecie, a moją myśl zuchwałą opierałem na nabożnym ukorzeniu przed świętymi polskimi — Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim i Wyspiańskim. Dla nich marzyłem o budowie takiego teatru, w którym mogłyby się zmieścić ich duchy przepiękne. Tak myśląc i marząc chodziłem tak, jakby gdzieś około olbrzymiej a tak dostojnej świątyni, do której może wejść człowiek czysty i wyzwolony i to był mój cel. Tam chciałem wejść i mając w duszy tak silne pojęcie tej prawdy, nie mogłem zarozumiały z tego, co w końcu wygląda tak marnie, i tak mało ma nawet pozorów ideałów, jak Teatr obecny. Dlatego to, co pisze ten, lub ów i miesza moje imię, niema żadnego naprawdę znaczenia dla przyszłości przetrwania moich. Ja, jak powiedziałem, muszę rozpocząć od nowa. To może wydać się czemś, co trzeba pojąć, a w zasadzie jest takie proste.

Droga życia musi być prostą, choć niekoniecznie celową — należy tylko mieć tę siłę woli i zrozumienie, że gdy droga przebyta poczyna się kończyć, to nie trudno stanąć w rozterce życia i przekreślić wszystko, a trzeba poszukać choć trudnej i przykłej do przebycia nowej drogi. Życie się nigdy nie kończy, albo się kończy z drogą skończoną. Tak jak życie ludzkie jest pasmem nieskończoności, tak i jego idea, jeżeli jest z pobudek głębokiej idei stworzona, nigdy nie zginie.

(Urywek z jednego z ostatnich listów przedśmiertnych Wincentego Drabika.)

LEON PŁOSZEWSKI

W. DRABIK JAKO DEKORATOR WYSPIAŃSKIEGO

W artykułach pozgonnych o ś. p. Wincentym Drabiku, a zwłaszcza w pięknie i głęboko ujętej jego sylwetce, nakreślonej przez Wł. Zawistowskiego jako wstęp do katalogu wystawy pośmiertnej, powtarza się często zestawienie Drabika z Wyspiańskim.

W obu podobny był stosunek do teatru: namiętność teatru, jako najpełniejszej, istotnej formy wyżycia się twórczego, kult teatru, świadomość ogromnych jego funkcji, dążność do tworzenia teatru monumentalnego.

Wstrzymując się od ponownego rozwijania tych spraw zasadniczych i podstawowych, chcę ograniczyć się do kilku uwag o stosunku Drabika do Wyspiańskiego, jako do dramaturga, którego dziełom miał on kształt sceniczny nadawać.

Kwestja to dla zrozumienia linii rozwojowej naszej plastyki scenicznej wcale ważna; zapewne w bliższej lub dalszej przyszłości ktoś zajmie się nią dokładniej. Poniższe, niepełne uwagi próbują tylko ją postawić.

Najpierw, na marginesie, wspomnienie z rozmowy z ś. p. Zmarłym, o okresie, kiedy był uczniem Wyspiańskiego w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Podjął się wtedy opracowania projektu dekoracji do „Klątwy”, a więc jednego z tych utworów, które Wyspiański poprzedzał szczegółowymi wskazówkami dekoracyjnymi. Drabik nie umiał wybrnąć z niektórych trudności, przedewszystkiem jak pomieścić w dekoracji na bliższym planie widok kościołka wiejskiego; swojemi wątpliwościami podzielił się z autorem-profesorem. Wyspiański dał mu wtedy charakterystyczną radę: że owe szczegóły z otoczenia plebanji nie muszą koniecznie być uwidocznione na dekoracji, ale chodzi o to, aby aktorzy wiedzieli, gdzie znajduje się kościół i aby publiczność w tem się orjentowała. (Warto dodać, że w takim pojmowaniu przestrzeni sceny Wyspiański zgadzał się instynktownie z założeniami Stanisławskiego).

Pierwsze dekoracje do utworów Wyspiańskiego wykonywał Drabik — jeśli się

nie mylę — na emigracji w Rosji, w czasie wojny. Teatr polski w Kijowie wystawiał w dekoracjach Drabika „Wesele”, „Bolesława Śmiałego”, „Warszawiankę” i „Noc listopadową” (informacje p. St. Daczyńskiego). Drabik starał się w miarę możliwości zachować tradycje teatru krakowskiego. W „Bolesławie Śmiałym”, utrzymując zasadniczą koncepcję udojnienia budownictwa i ubioru ludowego, dążył do większej barwności kostiumów (por. szkice kostiumów na wystawie).

Jest to pierwsza faza: jeszcze ściśle tradycjonalistyczna.

Po powrocie do Warszawy, do Teatru Polskiego, Drabik ma możliwość wprowadzenia paru utworów Wyspiańskiego na scenę, rozporządzającą bogatymi środkami. W „Wyzwoleniu” (1918) przedstawiał — według p. dyr. Szyfmana — wnętrza katedry wawelskiej (a. I i III) za wzorem teatru krakowskiego. W „Nocy listopadowej” (1921) nie potrzebował już kępować się tradycją: roztoczył własną, oryginalną wizję Warszawy listopadowej, zgodną zresztą z wskazówkami tekstu. Architekturę i wnętrza odtwarzał naogół realistycznie, szczęśliwie wydobyl poetyczność z fragmentów pejzażowych. W dekoracji „Wesela” (1922) Drabik zastosował ciekawy pomysł: wnętrza chaty wiejskiej ujął w ramy szopki krakowskiej. Po odsłonięciu kurtyny ukazywała się ogromna szopka, dopiero po rozwinięciu drugiej, cienkiej zasłony muślinowej odsłaniała się właściwa scena. Inowacja trafnie podkreślała charakter utworu, tej tragicznej „szopki” narodowej.

W tym też okresie Drabik stworzył oprawę sceniczną dla „Cyda” (Teatr Rozmaitości); zgodnie z intencją poety i tradycją teatru krakowskiego dał architekturę renesansową (według obrazu Veronesi'a: „Kana Galilejska”), wprowadzając tylko może większe uproszczenie linii.

W następnych latach — jak pamiętamy — w sztuce dekoracyjnej teatrów warszawskich zaszły zasadnicze zmiany; działalność Teatru im. Bogusławskiego wywarła swój wpływ i na Drabika. Jak zmienił się jego



„styl”, najlepszym dowodem jest ponowna inscenizacja „Nieboskiej Komedji” w tym teatrze (1926), najzupełniej odmienna od romantycznej koncepcji w Teatrze Polskim.

Pierwszym utworem Wyspiańskiego, ujętym przez Drabika w nowym jego „stylu”, był „Leleweł” w Teatrze Narodowym (1928): artysta architekturę wnętrza (zwłaszcza sali posiedzeń Rządu Narodowego w akcie I i II) odrealnił, zdeformował.

Potem olbrzymi wysiłek Teatru Narodowego: „Legjon” (na scenie Teatru Wielkiego, 1930). Cała inscenizacja, w której „magna pars” był Drabik, poszła w kierunku patosu wielkości. Drabik znalazł tu ujście dla swojej żądzy monumentalności, tworząc wizje potężne, czasem zagłuszające niejako sam tekst utworu. W niektórych scenach wprost przeciwstawiał się tekstowi. Odnosi się to zwłaszcza do sceny I.

Wyspiański pojmował pierwszą jej część jako poufną spowiedź Matki Makryny przed papieżem, „starcem wyłkłym i przygnębionym”, umieszczał ją w swej wyobraźni w Stanza d'Eliodoro. Drabik natomiast dał jakby symboliczny obraz potęgi papieżstwa: u szczytu schodów, na których stał orszak kardynałów, duchowieństwa, — tron papieński, a nad nim wizyjny obraz kościoła św. Piotra w okolicy. Całość sceny sprawiała wrażenie wielkie, tylko... tylko najzupełniej sprzeczne z intencjami twórcy dzieła.

Calkowitem wreszcie zerwaniem z koncepcją autora była dekoracja Drabika do „Sędziów” w Teatrze Ateneum (1932).

Tragedja Wyspiańskiego, osnuta na tle autentycznego wydarzenia, rozgrywa się w karczmie wiejskiej, opisaney z całym realizmem. Inscenizacja Ateneum zmierzała do stworzenia misterjum, zacierała wszelki realizm. Drabik skomponował wnętrza jakby gontyny czy chramu, zaznaczając tylko trzy portale i operując różnobarwnymi snopami światła.

To całkowite uniezależnienie się już nie tylko od tradycji, ale i od tekstu Wyspiańskiego, było wyrazem nie tylko zmiany „stylu” Drabika i jego pojmowania uprawnień artysty-dekoratora, ale także zmiany stosunku do spuścizny Wyspiańskiego.

W ostatnich latach rozmawiał dużo na ten temat ze swymi uczniami w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Mówił, że on „jest z Wyspiańskiego”, że wyznaje i stara się młodym przekazać ten sam stosunek do sztuki. Wyspiański jako poeta jest wieczny, jako malarz jednak — związany z epoką.

Uznając w głębi duszy tylko wielki repertuar teatralny i wierząc w jego zwycięstwo, Drabik wyznaczał w nim jedno z głównych miejsc utworom Wyspiańskiego. Marzeniem jego ostatnich lat było wprowadzenie na scenę „Akropolis”. Przez krótki czas miał nadzieję, że to marzenie zrealizuje Teatr Artystów.

Na wystawie zebrano kilka rysunków i szkiców do „Akropolis”. Jest (dawniejsza nieco) makieta Wawelu, która miała może posłużyć do aktu trojańskiego; są szkice rysunkowe wnętrza katedry, postaci z pomników, jest wreszcie szkic barwny końcowej sceny, gdy na ruiny świetlistą drogą wjeżdża Apollo.

Na podstawie tych szkiców można sobie wyobrazić, czem stałoby się „Akropolis” w ujęciu Drabika. Wolno wnioskować, że Drabik wstępował tu na drogę najwłaściwszą bodaj w stosunku do Wyspiańskiego: wydobywania elementów dekoracyjnych z tekstu utworu, przetapiania ich i tworzenia własnej wizji, oryginalnej, ale zgodnej z wizją poety, który był przecież zarazem plastykiem.

Jako dekorator utworów Wyspiańskiego, Drabik przeszedł zmienną ewolucję od tradycjonalizmu pierwszych przedstawień do zupełnej swobody, do skrajnej autonomii dekoratora w „Sędziach”.

Jakiegokolwiek jednak były jego poglądy artystyczne w różnych okresach, zadanie swoje spełniał z umiłowaniem i godnością, i dla scenicznego życia utworów Wyspiańskiego niezapomniane położył zasługi.

WIOSNA W EGIPCIE

Dowiadujemy się, że P. B. P. „FRANCOPOL” organizuje w końcu marca r. b. jedną z najciekawszych wycieczek, mianowicie do Egiptu, gdzie, po za częścią wybitnie turystyczną, poświęconą zwiedzaniu Kairu i szeregu zabytków dawnego Egiptu, przewidziany jest pobyt wypoczynkowy w skąpanym słońcem, słynnym uzdrowisku — Heluanie. Równie ciekawą jest trasa podróży, która prowadzi po przez starożytne Ateny i Stambuł oraz kolebkę ludzkości, tętniącą obecnie nowym życiem — Palestynę.

Blizszych informacji o tej podróży, mającej się odbyć w okresie 20/III — 17/IV r. b. udziela P. B. P. „FRANCOPOL” Warszawa, Mazowiecka 9. Tel. 206-73 i 286-30.

MICHAŁ
RUSINEK

CZŁOWIEK Z BRAMY*)

Morza nie było tu widać ani słyszeć. Jeden i drugi wał potężnych domów zamknął szumowi fali dostęp do głębi długich ulic. Zwycięski wał murów odrzucił w tył za siebie huk drugi i kafara, pracującego jeszcze wytrwale na dalekich wyrwach ostatniego basenu. Gdzieś tam po kilometrowych grzbietach wszystkich mól, pędziło i pędziło nieprzeliczone mrowisko wyciągniętych w czarne glisty pociągów, gdzieś tam dudniało dalej dno, juczwały dźwigi, nieustannie bulgotały baseny, polykając coraz nowe kesony, ale tu już nie było wcale słyszeć tamtej pracy.

Port i morze stanęło poza blokami betonu i cegiel. Jedyne glos, który dobiegał stamtąd, był to wstający co pewien czas na morzu gwizdek statku. Z niedalekiej zatoki, z rozległego pastwiska, na którym wylęgiwały się w miękkim morzu wypoczywające statki, wpadał czasem w miasto potworny i przeciągły ryk krowy, bek barana i jakieś smutne gwizdy, przejmujące ćwierkania gigantycznych ptaków.

W miarę jak Piotr zbliżał się do narożnika ulicy, przy której mieścił się zakład „Butpol” mieszał się w te pogwizdy nieco dzienny gwar i hałas.

Za każdym następnym krokiem Piotra nętały się te glosy. Stąd i zowąd biegło już w stronę narożnika kilku wyrostków. Piotr też przyspieszył kroku, żeby jak najprędzej dopaść zrzębu ulicy, w której roznosiły się okrzyki.

Wtedy uderzyła w niego wrzawa. W głębi ulicy naprzeciw firmy „Butpol” stał budynek, szarzejący zdaleka, w ostatniej poświacie złońca jak klub ruchliwych, rudych szczurów.

Tłum był już duży. Zdaleka widziało się, że siedział mocno w gardle ulicy wielkim twardym korkiem, tamującym z jednej i z drugiej strony przepływ przechodniów.

Piotr biegł przez resztę drogi nieomal pędem. Gwar tam raz po raz rósł i nacichał w tej kupie aż naraz ktoś jeden mocniej krzyknął:

— My chcemy żyć, złodzieje!

Krzyk wpadł w uszy Piotra świdrującym krzemieniem.

Zaraz za nim podniosła się jedna wrzawa.

— My chcemy żyć, złodzieje!

Szorstka galareta tłumu kołysała się wyraźniej za każdym takim krzykiem.

Dopiero zbliżka poznał Piotr o co chodzi. Rudy tłum tarasował sobą rozmyślnie wejście do „Butpola”, zatykając ulicę między „Butpolem” a chemiczną pralnią naprzeciw. Wspaniale srebrne drzwi firmy obrosły burym grzybem ustawionych barków, ramion, śniadych karków i rozmamlanych koszul, z których wyluskiwały się brudne banie mięśni. Tłum był różnoraki. Tam na przedzie parli się ku drzwiom pierwsi ludzie, jakowś szarzy, dziwnie nawet na twarzach biali, jakby z dala żyjący od spiekoty słońca. Tych była grupa ledwie. Tworzyli jednak główny ośrodek tłumu, tam bowiem grało i kołysało się serce ciżby. Wokół tych ludzi drobnych, jakowchś białych, na zeprzały chrzan wychudłych, czerniły się wynioślejsze bary robotników, wystające niby grzbiety żubrów ponad ciżbę.

Z tej drugiej grupy ktoś parł naprzód i krzyczał do pierwszych ludzi.

— Trzymajcie się kupy, szewcy! Kupą, szewcy!

Wszystkie wystawy „Butpola” były odsłonięte. Tłum osiadł je brzuchami i raz po raz ktoś tam od tych okien krzyczał.

— Boksowe męskie siedem dziewięćdziesiąt! Słyszycie siedem dziewięćdziesiąt!

— Złodzieje!

— Damskie sześć dziewięćdziesiąt!

— Złodzieje!

W krzykach grało wszystko naraz: wściekłość, lęk, niemoc i podziw. W olbrzymich stosach obuwia ktoś odkrywał co chwila nową cenę i krzyczał na podnięt do tłumu.

Krzyk powtarzali ci pierwsi ludzie przed sklepem. Zewnętrzna reszta tłumu, ludzie przygodni, którzy obrastali ten tłum kółkowym wieńcem, słuchali raczej w podziwie.

Gdy tam ktoś w pasji i złości krzyczał do grupy szewców nad podziw niskie ceny obuwia, tu powtarzano z niewiarą.

— Damskie sześć dziewięćdziesiąt?

*) Fragment powieści, która pod tym tytułem ukaza się nakł. Gebethnera i Wolffa.

Ten drugi tłum ciekaw widoku tak taniego buta, pchał się w wyczekującej ciszy na pierwszą ciżbę. I tu byli ludzie szarzy, niepozorni, ciekawi.

We wszystkich oknach „Butpola” na parterze i piętrach stali pracownicy firmy. Główne wejście, przed którym dygotała rdzawa rękawica tłumu, było otwarte. W drzwiach czerniły się burakowe liberje dwóch szwajcarów, za nimi migotały głowy subiektów, a pośrodku stał niski zwyczajny człowiek.

Poraz któryś z rzędu krzyczał do ludzi cienkim, niedosłyszalnym dalekim głosem.

— Usunąć się z przed wejścia! Zrobić miejsce!

Tłum głuzył jego słowa.

— Usunąć się z przed wejścia! Czego chcecie?

Czyjaś pięść chuda i zesnurowana siwejmi postronkami wytrysnęła ponad ciżbę

— Zamknąć budę!

Chmara głosów runęła po raz drugi w srebrne odrzwia.

— Zaamknąć buudęęę!

— Zaaamknąć buudęęę! Zrobicie z nas dziadów i złodziei.

Mały człowiek coś krzyczał i tłumaczył. Nikt go nie słuchał. Ważniejszy był ten, którego pięść wystrzelała co chwile w tłumie. Na każdej takiej pięści wyrzucił w powietrze okrzyk, za którym wybuchala wrzawa.

Ręka ta zniknęła znów i zanurzyła się w ciżbie. Zachybotało się w tłumie, ktoś tam rajbował tłum lokciami. Naraz trzy osoby wypchały się na schody firmy. Szare plamy ich ubrań siadały na srebrnych blachach wejścia.

Jakiś zgarbiony człowiek stanął w środku tej trójki. Na chudej szyi wisiała mu wielka głowa. Szyja nie szyja, pomarszczona żyła. Twarz miał ściągniętą i kościstą i wielki nochal krogulczy nieco w prawo skrzywiony. Słońce roztopiło się już w wiszącej nad ulicą niebieskości, więc ta twarz była szara, niebieskawozielona. Zgarbiony człowiek przypominał kondora.

Z daleka widać było, że jest kulawy. Trzymali go ci dwoje. Z jednej strony podtrzymywała go przysadzista kobieta w chustce na tył głowy zdartej, a z drugiej wypychała go ku górze ta graba sprzęgnięta w niebieskie sznury zylaków.

Z nad tej ręki ktoś krzyczał:

— Obywatele! To jest Kajda, szewc Kajda, kulawy szewc Kajda.

Gwar w tłumie grubniał.

Naraz żyłasta ręka zatopiła się w ciżbę i wydarła stamtąd ponad tłum drewnianą, czarną już od starości kulę.

— Obywatele, to jest szewc Kajda, inwalida wojenny, szewc Kajda. Przed dwudziestu laty odwalilo mu nogę w bitwie pod Łowczówkiem i Pleśną. Widzicie?

Naga ręka zatoczyła nad głowami kulę. Krzyk wzrósł znacznie.

— Za tę jego nogę zbudowano ten dom, ten dom, ten dom...

Trzęsła się czarna kula nad ciżbą. Tłum warczał.

— Za tę jego nogę tu w tym domu odbierają mu dziś żarcie. Za tę jego nogę będą tu od dnia dzisiejszego walić 3.000 par butów dziennie tańszych niż szyte zole.

— Hańba! Hańba!

— Precz z Butpolem!

Ciżba sprasowała się mocniej. Brzuch do brzucha i pięść do pięści.

— Precz z Butpolem!

Las pięści zjeżył się nad głowami.

Gruchnął w okno pierwszy kamień. Olbrzymia szyba przysła w gwiazdę. Szkło zaczęło dzwonić o kamień jak sygnaturka na trwogę.

Lecące wióry szkła wydarły dziurę w gęstym tłumie.

Kopali się i szarpali tam za bary, bo szkło spadało im na głowy. Trzeszczała szyba pod okutymi buciskami. Gryzł się z buciem i kamieniem zgrzytający szklany cukier.

— Tratują, Matko Jedyna, tratują! — piszczał już ktoś pod niedaleką pralnią.

Czarna kula machała przed strzaskanem szkłem i wrzawa.

— Preeecz z Butpolem!

Teraz wpadł najmocniejszy ze wszystkich chrapiący w gardle wściekły okrzyk.

— Dranie. Draaaaaanie!

Karasiowa trzepała buraczaną twarzą. Gęba jej puchła, gdy krzyczała.

— Dranie, dranie!

Wtedy właśnie Piotr rozlupał lokciami twardą ciżbę. Pchnął Karasiową w tył na ścianę. Stanął przed tym człowiekiem machającym kulą. Wielkie ręce rzucił w słup ku niebu i udarł się pełnym gardłem na całą ulicę:

— Ludzieeee!

Głos był taki, że aż krajało w krzyżach. Zatrzymały się ręce i gardła.

Piotr krzyknął poraz wtóry.

— Ludzie, co robicie, ludzie? Oklamują was! Łże pies, że za tę nogę odbierają wam dziś żarcie! To nie tak, psiekrew. To nie tak. Za tę jego nogę zbudowano nie tylko ten dom, ale i tamten dom, ale i tamten dom. Za tę jego nogę zbudowano więcej. Każdy ten mur i każdą tę chałupę. Za tę jego nogę zbudowano tę ulicę, tę ulicę i wszystkie tamte ulice. Zbudowano miasto całe! Za tę jego nogę przyrywano tam — wskazał ponad dachy — przez dziesięć lat piach i błoto. Za tę jego nogę wewalono w morze kesony, falochrony, wszystkie mola, latarnie, dźwigi, żórawie, wszystkie szyny, paliszcza, pomosty i baseny. Słyszycie? Wewalono kamień, żelazo i beton. Za tę jego nogę przekrojono wół Polskę całą szynami magistrali i rzucono setki tych szyn w dalekie morze. Patrzcie się! Za tę jego nogę. Zbudowano w dziesięć lat całe to olbrzymie, najdziwniejsze na świecie miasto. Ludzie! Za tą jego kulą przyszło tu na brzeg osiemdziesiąt tysięcy ludzi pracy. Słyszycie, osiemdziesiąt tysięcy chłopia!

Tłum zatrzymał się we wrzawie.

Piotr krzyczał:

— Ludzie! Tak, tak. Wszystko, co tu stoi wyrosło na tej kuli. Ta chałupa, tamta chałupa, łuszczarnia ryżu i wielka chłodnia na bekony. Ale z tych domów pójdzie w świat wasza praca. Ten dom będzie wydawał nie sześć ale osiem tysięcy butów.

Rzucił się w tłumie wkrót.

— Właśnie te buty! Kto u nas zamówi buty, gdy te są tańsze niż szyte zole?

— Odbierają nam pracę!

— Panie, nie bujać tam.

— Dziadami nas porobią.

Piotr krzyczał dalej:

— Was jest nie duża kupa, czterdziestu, sześćdziesięciu, stu może, a ten dom zatrudni całą chmarę: pięćset, może tysiąc ludzi. Osiem tysięcy butów pójdzie stąd codziennie do innych krajów.

— He, he, nie bujać! Te buty pójdą w nasze miasto.

— Niczego nie chcemy, tylko pracy.

— Praaaczy!

Drugi kamień gwizdnął w szybę. Wznicił się nowy chaos. Teraz zatrzepała rękami Karasiowa. Piszczala, jakby ją kto piłą krajał.

— Pan z nimi łapa w łapę. Panu się dobrze powodzi. Pan z nimi łapa w łapę.

Posłyszawszy te słowa Piotr w jednej chwili stracił siłę w gardle. Karasiowa zaś wciąż dalej. Piszczala i piszczała, nabierała w tej wrzawie odwagi. Nie umiała przemawiać do tłumu. Musiała mieć do kłótni koniecznie przed sobą jakąś gębę, więc wylewała swoje bóle wprost na Piotra.

— My chcemy pracy rąk, mój panie! Pracy rąk, mój panie. Moje te łapy niczego nie chcą, jacy tylko kręcić ściery i prasować koszule, kręcić ściery i prasować koszuleeee! — pieniała się coraz bardziej.

— Ściągnąć stamtąd tego drania — wyskoczyło ku nim z ciżby.

Chustkę jej rwało w tył. Włosy jej roztrzepywało w pendzel. Więc szarpała tę szmatę i siwe klaki i wciąż krzyczała:

— Z pracy rąk żyjemy, z pracy rąk żyjemy. Ja jestem za szewcami, bo z szewców robią dziadów i mnie puszczają na dziady. Widzi pan! Tam hań otwarli pół roku temu tanią pralnię. Takie same dranie tanią pralnię.

Ktoś bliski poderwał jej słowa i wyrwał się z grubszym krzykiem:

— Draanie! Draanie!

Swisnął kamień także i w szybę pralni.

— Dranie! Dranie!

Piotr strzelił oczyma za kamieniem i zatrzymał je na szyldzie.

Wtedy zaczęły mu dygotać wszystkie członki. Czytał:

III Filja Pralni „BLASK”

Józefa Krausiewicza

Na całej ulicy dalej grało.
— Draanie! Draanie!

Jedno i drugie wpadło w Piotra rozpędzoną kulą. Uderzyło go w piersi i rozłupało w nim wrota wspomnień.

Piotr widział w tej chwili ciemną, okrągłą sklepioną izbę, żółte obrypane łóżko i jego konającą w półmroku żywej trumny matkę. Obok wyrka na stołku widział dwie pomarańcze. Czerwieniły się na ciemnych plamach wyciekłej z flaszki zimnej wody, którą rąwał umierające serce matki. Wśród tych plam naukos bielila się kartka czystościanego papieru, na której leżały dwie glisteczki liter.

„Józef Krausiewicz
właściciel pralni „Blask”

W tem wszystkim pachnęły bez końca czerwone pomarańcze, które jeszcze dziś przegrzały się zdrową i żywą wonią przez skisły pot konającej, niemogącej utrzymać moczu.

Piotr widział wszystko. Widział izbę, widział matkę, wyrko pod piecem, niską ławę, stołek, owoce i czarne na białej karcie nazwisko, ale nie widział tego człowieka.

Nie znalazł go przecież do tej chwili. Twarz i wygląd cichego dobroczyńcy zamknęła się pod powiekami zmarłej matki Piotra.

Piotr jednak znalazł tego człowieka. Poznał go wtedy nagle uściskiem w zalazanym gardle i teraz poznawał go zalazanym gardłem.

Przeciw niemu wznosiła okrzyk praczka Karasiowa.

Jakiem prawem wznosiła ten okrzyk Karasiowa.

— Dranie, dranie — wyło w ulicy.

Ten okrzyk wznosił i sam Piotr w takim samym ścisku i w takiej samej, o wiele nawet większej wrzawie. Wznosił go przeciw dorobkiewiczowi wojennemu piekarszowi Platkowi, który przekupywał austriacką policję białym chlebem, a ich trul skisłym, obsmażonym w skorupę, błotem. Piotr wznosił ten okrzyk przeciw austriackiej policji, deutschmeistrom, pruskiej żandarmerji, pa-skarzom wojennym, lajdactwom niemieckie-go konsulatu.

Jakiem prawem wznosiła go tutaj Karasiowa, praczka Karasiowa, biedna w istocie Karasiowa, przypominająca w praniu matkę Piotra. Matka Piotra nie krzyczałaby tak jednak nigdy na ulicy.

Na roztrzaskanym od kamienia szyldzie pralni wypisany był człowiek, o którym Piotr przysięgłby na grobie własnej matki, że nie mógł być złym człowiekiem.

Jakiem więc prawem wznosiła przeciw niemu okrzyk Karasiowa?

Piotr przez tę chwilę stał jeden jedyny w górze nad tem mrowiskiem, tak mu się jakoś wszyscy znajomi ludzie dziś w ręce zesłali i z rąk tych na wsze strony rozprysli. Tam na prawo był ów człowiek, w pamięci troskliwie przechowywany, a tu znów Karasiowa. Przed sklepem wywijal uliczny demagog kulę dziwaka szewca Kajdy, a tam w sklepie drżał ze strachu na widok tłumu łysy żyd Milrad, który po to tam czyścił na glanc śrubki, aby mógł gryźć chleb z cebulą, a czterem dzieciom dawać kromy z rarytasem jajkiem.

Gdzie się ci ludzie wszyscy rozprysli i gdzie się odprysnął od nich on jeden, który, wydawało mu się, był im wszystkim równy. I wtedy znów piszczalo mu w czaszce.

— Panu się dobrze powodzi, panu się dobrze powodzi.

Ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, że byli wszyscy równi. Piotr był jedynie od nich sprytniejszy. Spryt ich wyróżniał, lub brak sprytu ich gubił. Praczka Karasiowa przypisywała zmniejszenie pracy pralniom, ale straciła ją dzięki temu, że się ulice rozrosły, domy nowe powstały, praczki inne przyszły, a ona zaschła w cichości małego domku, który już nie mógł tu żyć, skazany na zagładę.

Jakiem jednak prawem wznosiła krzyk przeciw tamtemu człowiekowi? Przecież była uczciwą kobietą i tamten człowiek był uczciwym człowiekiem.

Piotr nie znalazł innego podziału ludzi. Były kanale i byli uczciwi. Było dużo Gąsiorów, Hubek i Kukuczów i dużo Karasiów, Ozeluchów, Krausiewiczów, Milradów.

Piotr wiedział jedno, że jeśli taki uczciwy nastawał na drugiego uczciwego, to działa się sama z siebie niezrozumiała krzywda. Dlaczego działa się krzywda?

— Dlaczego działa się krzywda — hucało mu bezustanku w głowie. Nie umiał

jednak w tej chwili znaleźć na to odpowiedzi.

Tłum burzył się i burzył. Jedni się parli wprzód, drudzy się wymykali. Jedni się parli w lewo a inni w prawo. A Karasiowa wciąż śmigala rękami:

— Złodzieje, te złodzieje!

Za nią huczał tłum.

— Złodzieje!

Wtedy Piotr wyrzucił jeszcze raz widły z rąk ku niebu. W tym geście obejmował sobą tę całą nowozbudowaną ku podziwowi świata ulicę. I ten dom wielkiej fabryki obuwia, mającej nieśłą sławę polskiego wysiłku za morze, te wszystkie domy wspańnięte szyldami nowej pracy obwieszone i ten tu sklep pralni z przeciwka.

Patrząc w rozbity szyld, znów krzyczał:

— Nie złodzieje. To, psiakrew, nie złodzieje!!! Drzyjcie się jak chcecie, ale w tem mieście nie dzieje się żadne świństwo, tylko się robi nowa praca. Robi się dla was nowa praca. Wiercie, nie wiercie, ale jestem z takich jak wy szarzy ludzie. Mój ojciec szorował wychodki a matka prała, słyszycie!

Gdzieś tam na skraju ciżby pod pralnią policja zaczęła rozpędzać tłum.

— Policja! Policja! — zaczęły się roznosić krzyki.

Znów strzeliła nad głowami pięć z niebieskimi żyłami. Pierwszy kamień wypadł z rąk rudego tłumu.

HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA

WIECZÓR NAD JEZIOREM BOURGET*)

Zabłąkany w obcym mieście podróżnym, jakby w jakiejś cudownej przygodzie,

dzień się pisał listem miłosnym — teraz pieczęć go zamyka wieczoru: zielonawa, stygnąca woń mokro szepce o pobliskiej wodzie — małe uliczki wiodą prosto ku jezioru.

Ciepłe skrzydła ma cisza wieczorna... W skrzydłach ciszy jesteśmy sami: kochankowie z starożytnej powieści — poetyczni, trochę smutni i młodzi.

Widzisz? — gwiazdy nad wodą rozmawiają z podwodnymi gwiazdami. Słyszysz? — fala przy brzegu miękko pluszcze o dno starej łodzi.

Ten wieczór układa się w wiersze — w romantyczny, księżycowy poemat: fala rytmu używa słowom i z oczami rymują się oczy...

Ta chwila jest jak ważka błękitna — chwyć ją, uwięź rękami obiema! Ta chwila jest jak ważka płochliwa — ponad nami niezłowiona trzepocze.

Pod palcami — czy to trzciny oślizgłe, czy to twoje zziębnięte dłonie? Poprzez palce — czy to woda jeziora, czy to młodość nieuchwytnie przecieka?

Czemu leżysz tak płasko na fali, czarnym cieniem bezszelestnie toniesz? — Od mojego do twojego cienia droga trudna, droga daleka — —

Wiatr na wodzie cienie poszarpał... Chmura gwiazdy na niebie zgasła... Wiatr słowa roztał w powietrzu... Ciemność chłonie nasze spojrzenia...

— To nic... to tylko deszcz — — Czego drżysz, czego lękasz się, miła? — To nic... to tylko C z a s — — To się „dziś” we „wczoraj” zamienia.

Chwila była jak ważka błękitna... Chwila była — chwili niema — dlaczego?!

Zasłuchani w przemijanie milczymy, szorstką ciszą spowici jak kirem... Na fali — czy to głos? — I t a k, w i e c z n i e k u n o w y m p o p y c h a n i b r z e g o m...

Szepce cień Lamartine'a cieniowi Elwiry.

P O Ł U D N I E

Gorącymi wargami Południe sniade piersi drzewom całuje i przez sito zmierzwionych liści złotem ziarnem sypie się powoli... Woń gęstymi, słodkimi kroplami z nieprzytomnych ścieka magnolij i żywicznym kadzidłem dyszą dwie zielone kaplice — tuje.

Żwir na ścieżkach trzeszczy od upału, trawa kona w soczystym krzyku. (Biały dom się różami zapalił, w winoroślach splątanych utonął — —) Tylko niebo oczom błogosławi dalekością, niebieskością zaśnioną... — Mały obłok, jak wianek srebrzysty, na Alp spoczął granitowym pomniku.

Przeciekają minuty przez rzęsy, wargi lepkiem się bronią godzinom — ponad ciałem bezwładnym i ciężkim sennie krążą dwa żółte motyle... — Aż się w jakiejś chwili niepojętej małe drzwi ze skrzypnięciem uchylą: ktoś na tacy przyniesie zbawienie — kwaskowate, lodowate w i n o.

*) Wiersze z tomu p. t. „Imiona Swiata”, który ukaże się niebawem.

KURJER PORANNY

największy dziennik stołeczny dla inteligencji,

wychodzący pod redakcją Wojciecha Stpiczyńskiego

zamieszcza artykuły najlepszych publicystów, znakomite krytyki i feljetyony, posiada bogaty dział gospodarczy, własnych korespondentów w kraju i zagranicą. Cena wraz z dodatkiem ilustrowanym i tomikiem powieści co tydzień zł. 5.— miesięcznie wraz z przesyłką. Urzędnicy państwowi i komunalni zł. 3.75.

Zamówienia przyjmuje Administracja

Warszawa, Marszałkowska 148, telefon 542-30.

Drugi raz w życiu widział Piotr w podobnej chwili policję.

Tamta konna szła rozpędzonym galopem i miała glancowane czaka. Piotr słyszał jeszcze dziś zgrzyt tembinek, świst szabel i trzask karabinów maszynowych, ustawionych wszere ulicy. Lśniące czaka migaly cesarskimi różkami i skądś z przodu z jakiegoś różowego pyska leciał przeciągły rozkaz „Reechsts”, który tak podjudzał otyłego krawca Wyderkę, że aż pral kamieniem w żółte gęby.

Dziś widział Piotr inną policję, zbliżającą się w rozrzuconej grupie pod murami pralni. Szli pieszo jak wielkie ruchome ćwieki z granatowej stali w czapach na płask ściętych. Krzyczeli tam na skraju tłumu raz po raz i nawoływali do rozejścia się. Każdy z nich był jeden do drugiego podobny, taki sam w polowie pasem spięty, jak ten, który biegł na ratunek za bielizną Karasiowej.

I ci szli twardo, rajbowali mocnymi grabiami. Czerwieniły im gęby od krzyku i wrzynały się w tłum wielkie granatowe bary.

Wbijali się coraz głębiej w tłum i rozrywali go na boki. Sypały się szturchańce, szarpał się jeden z drugim. Parli się w tłum, prali twardziną kolan, pochew od szabel i kolbę. Dopiero w pierwszej chwili zobaczył Piotr na jednej ręce białoczerwony mankiet. Tę barwę rzucali ponad karki i tą barwą bronili porządku w nowym mieście, które miało i musiało tu stać nad piaszczystym brzegiem ciszą i prawem.

Ciszą i prawem.

Zeby tu w świętem nieomal mieście stała ta policja Piotr walil przed piętnastu laty w tamte glancowane czaka. Zeby tu migal białoczerwony mankiet na każdym rogu ulicy, małż Piotr w wojennych ogonach, zdychała jego matka z głodu i gnil gdzieś w grzęzawisku poleskiem rozcięty wpół ka-
dłub Piotrowego brata, legionisty Andrzeja. Poto u licha ciężkiego sto tysięcy Andrzejów Ozeluchów, Wyderek, Piotrów Ozeluchów, sto tysięcy Kajdów rozrzucało po polach swe utracone kikuty, jadło surową rzepę i mielone trociny, dawalo się zrec przez wszy i robactwo, zeby tu dziś w wąskim pasie ładu w gardle wroga wbiły się w szarą ziemię twarde granatowe ćwieki polskiej siły, prawa i porządku.

Widział to wszystko i rósł w sobie. Chwycił znów jeden łyk nowego powietrza i zaczął na nowo krzyczeć:

— Ustąpcie z drogi! Ustąpcie z drogi. Nie gryźcie się wzajemnie, ludzie. Ci sami jesteście z tej strony i ci sami z tamtej strony. Tamci ludzie są tacy sami jak wy, szarzy ludzie. Ustąpcie im, oni wykonują prawo, nasze prawo.

— Gdzie prawo? Tam prawo, czy tu prawo? — krzyczała Karasiowa.

— Ludzie, ta policja wykonuje prawo. Ta policja i was broniła.

— Czemu nas dziś nie broni?

— Bo wybijacie szyby.

— Odbierają nam pracę.

— Więc żądajcie pracy.

— Przecież żądamy pracy. Niczego tylko pracy. Żądamy zabezpieczenia pracy!

— Na darmo gęby strzępicie. Taką wrzawą do niczego nie dojdzie. Czy nie widziacie, szewcy, że jest was kupka ledwie. Tamta reszta kupy cieszy się w duchu z tego taniego buta. Mają dzieci i żony, które dzie się lat czekały na tanie buty. Wy tu nic, szewcy, nie zrobicie. Drzyjcie się gdzie indziej o pracę. Żądajcie niech zrobią układ z miastem, niech przyjmą was do zakładów, podwyższą cennik swoich wyrobów w kraju, żądajcie zresztą czego chcecie, jeśli potrzeba tam drzyjcie się, gdzie krzyk ten usłyszą. Wszystko się zrobi bez kamienia.

Prawie nikt go nie słuchał. Policja szła ostrzej i panika rosła, tłum rozrzucał się przy tem na wszystkie strony. Gdzieś z wczesnego zapobiegliwie jakoś zagubiła się w tłoku ta ręka w niebieskie sznurki opasana.

Tłum malał. Zostawali jedynie szewcy i to w coraz mniejszej liczbie. Interes innych był tu zresztą wątpliwy, skoro walczono z potaniemieniem najpotrzebniejszego artykułu.

Ktoś gdzieś tam jeden do drugiego ukradkiem pomrukiwał, umykając z placu.

— E, chodźmy, chodźmy! Oni też umieli z nas drzeć skórę. Tańszego buta człowiekowi żalują.

Powoli wrzawa rozsypywała się wzdłuż ulicy i cichła. Tłum się rozdrabniał i rozlewał w bocznych ulicach.

BOGDAN
SUCHODOLSKI

JAK UJMOWAĆ I OCENIAĆ MYŚL BRZozOWSKIEGO?

Dwie recenzje książki mojej o Brzozowskim, zamieszczone w „Pionie” (Nr. 5 z dn. 4. XI. 33 i Nr. 13 z dn. 30. XII. 33) nasuwają kilka zagadnień, których przedyskutowanie mogłoby pogłębić nasz intelektualny stosunek do autora „Legendy”.

Pierwsza sprawa dotyczy metody ujmowania i przedstawiania poglądów Brzozowskiego. Jeden z recenzentów, Konstanty Troczyński, gani zasadnicze nastawienie książki: „raczej na myślowe konflikty i poszczególne zagadnienia, przedstawiające się filozofowi jako ważne w rozmaitych okresach, aniżeli na linie ich rozwiązań i typy zajętych w wyniku stanowisk filozoficznych”; domaga się systematycznego wykładu wyników myślowej pracy Brzozowskiego oraz próbuje — szkicowo — dać taki systematyczny obraz poglądów z okresu „Legendy” i „Głosów”. Powstaje tedy subtelna kwestja: czy i w jakim stopniu badacz liczyć się powinien z charakterem myśli badanego autora? Są myśliciele, których główna wartość, a zarazem główna umiejętność, przejawiają się w wynikach, w zdobyciach, w sformułowaniach; i są tacy, którzy i dla siebie i dla innych znaczą więcej swą żywotnością myślową, niżli jej owocami, swą zmiennością, niż osiągnięciem, poszukiwaniem, niż znalezieniem. Brzozowski, jak sądzę, należy do tego drugiego typu i to właśnie uprawnia badacza, by zwracał główną uwagę na dynamikę jego myślenia, a nie na osiągnięte wyniki. Nie znaczy to oczywiście, by je pomijać: trzeba by jednak traktować tak, jak to czynił sam autor t. zn. jako punkty przejścia dalej lub jako narzędzia działania — i dlatego wszelkie próby systematyzacji są w tym wypadku niewłaściwe. Można wprowadzić z poglądów Brzozowskiego „ulożyć” pewien system poglądów, ale system ten byłby własnością układającego i nie odzwierciedlałby wiernie myśli Brzozowskiego, który właśnie nie układał systemu. To też nie przekonywa mnie próba K. Troczyńskiego „regresywnego rozwinięcia sformułowań” Brzozowskiego i określenia ich jako socjologizmu. Recenzent bardzo dowolnie grupuje sądy Brzozowskiego, klasyfikując je — jak tego każda systematyzacja wymaga — na podstawowe i wynikające. Tak np. z socjologizmu rzekomo dają się „wyprowadzić wszystkie najtrwalsze awersje Brzozowskiego do wszelkich postaci i typów romantycznych: racjonalizmu, sentymentalizmu i bezdzziejowego intelektualizmu”; z socjologizmu ma wynikać jego ideologia krytyczno-literacka i publicystyczna, przeciwstawienie intelektualizmowi. Otóż, wszystko to jest słuszne w odniesieniu do „systemu socjologizmu”, jako abstrakcyjnego, bezosobowego i uporządkowanego logicznie tworu. Jeśli natomiast chodzi o dzieje czyjejś myśli, to „stosunki wynikania” zarysowują się inaczej: nie zawsze to, co logicznie podstawowe, pojawia się jako pierwsze w świadomości. To też przedstawiając dzieje myśli Brzozowskiego stwierdzić musimy, iż te cechy, które K. Troczyński uznaje jako wyniki założen podstawowych (np. niechęć do sentymentalizmu, do racjonalizmu) są wczesniejsze, niż same założenia socjologizmu, do których doszedł później i zapewne dzięki tamtym, dawniejszym przekonaniom. Zależność logiczna między sądami ułożeniami w system nie odpowiada zależności realnej. Powtóre „podstawa socjologiczna” nie obejmuje wszystkich przekonań Brzozowskiego w tych czasach; krytyka intelektualizmu i uznanie prymatu życia nad myślą posiada charakter raczej Bergsonowski, niż Durkheimowski, a w poprzednich okresach jego działalności wykazuje również zgoła odmienne pokrewieństwo, jak to zresztą starałem się przedstawić w swej książce; stosunek do metafizyki — jeden z najbardziej stałych elementów myśli Brzozowskiego — wyrasta również poza socjologizm i to nie tylko w okresie fichteńskim i newmanowskim, ale również i w okresie „Legendy” (np. Vico, Blondel); podobnie „filozofia pracy” i pojęcie osobowości moralnej nie dają się wtłoczyć w ramy socjologizmu, chyba, iż doktrynę tę pojmuje się będzie tak szeroko (jak to zresztą zdaje się czynić recenzent, uważa-

jąc za jej przedstawicieli równie dobrze Nietzschego jak Durckheima oraz Simmla wraz z Sorelem), iż przestanie wogóle cokolwiek znaczyć. Dłuższe i głębsze życie się z myślą Brzozowskiego przekonywa każdego, iż jest ona bogatsza, niż socjologizm, a próba zuniifikowania jej oraz ujęcia w system t. j. w kategorie „podstaw” i „wniosków” jest może efektywną, ale nie liczącą się z rzeczywistością, próbą aksjomatyzacji logicznej. Można poglądy Brzozowskiego „konstruować” w system socjologizmu, podobnie jak — z równą słusnością — można z nich budować system witalizmu, lub indeterminizmu, lub nawet materializmu czy indywidualizmu. Żadna jednak z takich „konstrukcji” nie oddawałaby wiernie tego zespołu poglądów, który właściwy był autorowi „Legendy”. Zawsze wówczas mielibyśmy do czynienia z Brzozowskim „jako” socjologiem, jako witalistą, jako socjalistą, jako nacjonalistą i t. d. — nigdy zaś z Brzozowskim jako Brzozowskim. Postulaty badania, jakie stawia Troczyński, są objawem modnej wśród niektórych uczonych niemieckich teorii, według której badacz ma poprawiać autora i rozumieć go lepiej, niż on sam siebie. Dlatego też razi go w całej mej książce „brak wyrazistości” pewnych faz rozwojowych czy zapatrywań badanego autora, mimo, iż w ten tylko sposób oddać można wiernie drogę jego myślenia; dlatego też gani np. nazwę „konkretny realizm dziejowy”, używaną przez Brzozowskiego (a nie stworzoną przeze mnie, jak sądzi recenzent) i chce ją zastąpić obcą autorowi nazwą „socjologizmu”. Usiłowanie Troczyńskiego, by wykryć „podstawową przesłankę myśli Brzozowskiego” i w ten sposób sprowadzić bogactwo jego współrzędnie ważnych i samoistnych stanowisk do jednej wspólnej podstawy jest objawem „redukcjonizmu”, który określił się dając słowami recenzenta, jako swoista, doktrynerska interpretacja, dokonywana w myśl dowolnie przyjętego założenia redukującego i posługująca się wygodnymi pojęciami bazy i nadbudowy”. Nietylko przecież — jak słusznie stwierdza Troczyński — przeciw nauce grzeszy ten, kto w badaniu kultury próbuje sprowadzić różnorodne i samoistne dziedzi-ny twórczości ludzi do jednej, rzekomo podstawowej, ale podobnie grzeszy i ten, kto próbuje taki „redukcjonizm” zastosować w ujmowaniu myślowego rozwoju jednostki, upatrując w pewnych przekonaniach źródło wszystkich innych sądów.

Z tych więc względów nie powinno być dyrektywą dla badacza systematyzowanie czy nawet aksjomatyzowanie myśli Brzozowskiego; celem badania jest uzyskanie takiego obrazu, któryby wiernie odtwarzał nie tylko zawartość poglądów, ale również i ich swoistą strukturę t. zn. fakt, iż były one myślane i wyrażane przez autora w pewien sposób, uporządkowany i jemu tylko właściwy. Duch rzetelnego badania naukowego wymaga pokory wobec badanego przedmiotu i przejęcia się pragnieniem, by poznać czym jest on w swej własnej niezastąpionej, pełnej istocie; zaprzecza natomiast surowym wymaganiom nauki ten, kto na podstawie zetknięcia się z przedmiotem badania buduje własne, a obce mu, konstrukcje, kto pragnie zaspokojenia ciekawości: co teźby jeszcze można było zrobić z tego, co się powinno zbadać.

Drugą sprawą, nadającą się do dyskusji, jest zagadnienie stosunku psychologii do ideologii. K. Troczyński oskarża moją książkę o brak konsekwencji metodologicznej, ponieważ ukazując rozwój myśli Brzozowskiego nie wyjaśniłem go jako „podmiotowo uwarunkowanego, jako genetycznie tak a tak zdeteterminowanego”. Nie mogę przyznać słusności temu oskarżeniu. Nowsze badania metodologiczne w zakresie humanistyki wykazały w sposób przekonywujący dwoistość pojęcia „rozumienia”: inaczej mianowicie „rozumiemy” osoby (świat psychiczny) inaczej zaś „rozumiemy” wytwory psychofizyczne (świat duchowy). W pierwszym przypadku cały duchowny materiał ujmujemy ze względu na to, co wyraża, jak reprezentuje osobę, w drugim zaś ze względu na

jego sens i wartość niezależną od psychologicznej genezy. Ponieważ zaś dzieje myśli Brzozowskiego traktowałem jako rozwój ideologii, a nie jako świadectwo osobowości, przeto nie tylko nie byłem obowiązany do poszukiwań i pogłębień psychologiczno-biograficznych, ale nawet, wprowadzając je, zatarłbym metodologiczną czystość badań, zwróconych ku zagadnieniom „sensu i wartości ideologii”, a nie ku odnadywaniu w niej w y r a z u duszy autora.

Znacznie słuszniej i głębiej ten sam problem ideologii i psychologii ujmuje w swej recenzji Kazimierz Wyka. Rozumując zasadniczą różnicę badań psychologiczno-genetycznych i opisowo-krytycznych formułuje w zupełnie inny, i metodologicznie poprawny sposób obronę psychologii. Sądzi mianowicie, iż, ponieważ z całej osobowości Brzozowskiego wydzieliłem, jako jedyny przedmiot badań, sferę myśli, przeto nie mogłem, w kilku przypadkach, wiernie zrozumieć jego poglądów. Znajomość psychiki bowiem — powiada Wyka — ułatwia pojęcie ideologii. Traktując sprawę zasadniczo, trzeba jednak przyznać rację metodologom współczesnym (Simmel, Spranger, Binswanger), przekonywującym, iż psychologiczne rozumienie osoby uzależnione jest od duchowego zrozumienia jej wytworów. W stosunku zaś do Brzozowskiego pomoc psychologii w rozwiązywaniu trudności ideologicznych jest również i z tego względu wątpliwa, że jego psychikę konstruujemy sobie niemal wyłącznie na podstawie jego dzieł (wszak i „Pamiętnik” jest raczej dziełem, niż pamiętnikiem, a inne wiadomości są bardzo szczupłe); to też rozumienie ideologii jest najpierwszym zadaniem badacza, wszelkie zaś naświetlenia psychologiczne są w tym wypadku, nowymi właściwie sposobami interpretacji tekstów. Nie na tem więc właściwie polega zagadnienie, czy znajomość psychiki, zdobyta skądinąd, ułatwi zrozumienie ideologii, ale na tem, czy prawomocną jest czysto intelektualna interpretacja tekstów Brzozowskiego, czy może ona doprowadzić do słusznych wyników? Na pytanie tak sformułowane (nie wiem, czy odpowiada to intencji recenzenta) odpowiedziałbym: interpretacja intelektualistyczna jest uprawniona o ile zmierza do przedstawienia, jak a k a drogą szła myśl autora, jak a k a jest jej wartość. Gdy natomiast chodzi o wyjaśnienie dla czego myśl autora szła taką, a nie inną drogą, gdy chodzi o motywację, wówczas interpretacja intelektualistyczna nie jest wystarczająca. Powinna być uzupełniona innymi metodami. Uwzględnienie całej osobowości myśliciele przyczynia się więc nie do trafniejszego odgadnięcia sensu ideologii, ale do pełniejszego odtworzenia czynników, kierujących jej pr z e m i a n a m i. Pewne potwierdzenie tego stanowiska widziałbym w tem, iż właśnie to „poprawienie psychologiczne” (mojego wykładu idei pracy i kataklizmów kosmicznych) przedstawia się zupełnie niezrozumiale, natomiast najciekawsze uwagi recenzenta mają charakter interpretacji intelektualistycznej (np. stosunek do Sorela, Proudhona i t. p.). Te uwagi zasługiwałyby na dyskusję odrębną i obszerniejszą; zapewne wzbudzi ją ogłoszenie wyników badań recenzenta nad Brzozowskim i Sorelem.

Trzecią sprawą jest ocena myśli Brzozowskiego i tu nie mogę pogodzić się z K. Wyką. Recenzent nie atakuje tych kryteriów oceny, których użyłem, sądzi natomiast, iż bezprawnie wydaję sąd o Brzozowskim, skoro traktowałem go wyłącznie jako myśliciele i skoro nie uwzględniłem jego „pełnej osobowości”. Myśli Brzozowskiego — powiada — zaczynają „wychodzić w innym oświetleniu”, gdy się mówi o całym człowieku, zaczynają odzyskiwać odjętą im wartość. Wbrew temu stanowisku sądzę, iż — podobnie jak w badaniu, tak i w ocenie — odróżnione być powinny dwa punkty widzenia: psychologiczny i opisowo-krytyczny. Pierwszy dąży do zrozumienia, które jest wybaczeniem (w myśl znanego przysłowia) drugi do zrozumienia, które jest sądem; pierwszy odsłania motywy i odnajduje instancje łagodzące, drugi ocenia to, co po-

wiedziano i zwraca uwagę na skutki głoszonych tez. Otóż myśliciele trzeba oceniać według tych myśli, które wypowiedział, to jest bowiem jego społeczne i logiczne oblicze; czyż inaczej zresztą postępujemy wobec Kartezjusza, Kanta, Bergsona i każdego z filozofów? Ocena c z ł o w i e k a natomiast wymaga bogatszej podstawy i obejść się nie może bez znajomości psychiki i biografii, niepotrzebnych wówczas, gdy osądzamy tylko ideologię. Oba te wyroki mogą być rozbieżne, ale nie sądzę, by najbardziej dodatnia ocena osobowości Brzozowskiego, mogła osłabić krytykę jego ideologii. Dlatego wolno osądzać ideologię, jako samoistny — oderwany od osobowości — zespół poglądów.

Jeszcze jedną, bardzo interesującą kwestję z zakresu oceny Brzozowskiego poruszył Wyka. Stwierdzając, iż odmawiam ideologii pisarza wartości, ale przyznaję mu prawo do karnodziejstwa i pedagogii narodowej, recenzent postawił mi zarzut, iż postępuję niekonsekwentnie, ponieważ, uznając wychowawczą działalność Brzozowskiego, cenię tem samem — przynajmniej w pewnym stopniu — jego ideologię. Otóż myślę w tej sprawie tak: wartość filozoficzna i wartość wychowawcza pewnej doktryny są często rozbieżne; dzieje się tak dlatego, iż społeczna recepcja czyjejś teorii nie jest nigdy dostatecznie wierna i subtelna. Czasem wychodzi to na złe (np. pragmatyzm Jamesa wyzyskany przez „akcję bezpośrednią”) czasem zaś na dobre. Z Brzozowskim tak się właśnie rzeczy mają. Przyjęcie całkowite i ścisłe jego filozofii pracy i jego krytyki świadomości byłoby — w moim mniemaniu — szkodliwe; ale właśnie ogół brał jego książki raczej jako podniety i sugestie ogólnikowe, niż jako jasne i pełne doktryny. Na tym zaś poziomie rozumienia teorii Brzozowskiego nie tylko nie ujawniały tych błędów i braków, które, — badając głębiej, można znaleźć — ale pobudzały uczuciowo niejednokrotnie dodatnio. Dlatego też wspominając tu i ówdzie o dawniejszym, wychowawczym wpływie myśli autora „Legendy” czy — niemiło to bardziej wyrozumiame, niż surowość ściśle intelektualnej oceny, wymagałoby powinna. Jeśli chodzi natomiast o przyszłość, to, w miarę głębszego pojmowania doktryny Brzozowskiego, tem wyraźniej zdawać sobie trzeba sprawę z ich wychowawczych, społecznych konsekwencji i dlatego ograniczać prawo „pedagogii narodowej”, usuwając filozofię pracy i krytykę świadomości. Cała ta sprawa, traktowana ubocznie w mej książce, zasługuje na subtelne badanie: jak się zmieniło wśród społeczeństwa rozumienie Brzozowskiego oraz jaki jest związek między coraz głębszym rozumieniem doktryny, a wartością jej oddziaływania wychowawczego?

O KSIĄŻCE POLSKIEJ WE FRANCJI

Artykuł p. Stefana Włoszczewskiego w „La Pologne” przynosi szereg ciekawych informacji i danych o losach książki polskiej we Francji na przestrzeni ostatniego stulecia.

Po powstaniu listopadowym powstała w Paryżu pierwsza księgarnia polska M. Januskiewiczza, zaś w krótkim czasie potem księgarnia Jelowickiego, wydawcy dzieł Adama Mickiewicza. Następny etap to księgarnia założona przez Władysława Mickiewicza. Wydał on szereg tanich książeczek najwybitniejszych pisarzy polskich po niskich cenach, zarówno w oryginałach polskich jak i w przekładach, przeważnie własnych, na język francuski. Po likwidacji tej instytucji wegetowała książka polska w Paryżu dzięki niewielkiej księgarni K. Woźnickiego.

Dopiero po wielkiej wojnie rozpoczyna regularną akcję wydawniczo-propagandową filja Gebethnera i Wollfa w Paryżu, która w latach między 1925 — 1933 wydała przeszło 300.000 tomów książek, przeznaczonych specjalnie dla emigracji polskiej we Francji, która dotąd karmiła się tandetą importowaną przeważnie przez anonimowe wydawnictwa niemieckie.

Przekładów z języka polskiego na francuski wydała filja paryska G. i W. przeszło 50, m. in. prace marszałka Piłsudskiego, szereg książek K. Smogorzewskiego, oraz pozycje Wierzyńskiego i inn.

Równocześnie wydały wydawnictwa francuskie szereg przekładów z polskiego, m. in. utwory Prusa, Weyssenhoffa, Sieroszewskiego, Reymonta, Berenta, Norwida, Kadena, Bandrowskiego, Goetla.

W najbliższym czasie ukazać się mają przekłady Choromańskiego i Nałkowskiej.

ZASTÓJ W BIBLIJOFILSTWIE

Zorganizowany ruch bibliofilski w Polsce — bezmała że zamarł w ostatnim dwuleciu. Wszystkie istniejące towarzystwa miłośników książki rzadko tylko dają znak życia. Najstarsze — warszawskie (założone w r. 1921), mogące się pochlubić 21 pozycjami wydawniczymi, prowadzi jeszcze jedynie comiesięczne aukcje, przeżywając jednocześnie głęboki kryzys wewnętrzny. Krakowskie (utworzone w r. 1922), najruchliwsze dotychczas w swej działalności wydawniczej (130 publikacji), naukowej i towarzyskiej, po przeniesieniu się najczynniejszych jego członków do Warszawy i wskutek zupełnego zaniku źródeł finansowych — zawiesiło już oddawna wspólny organ polskich towarzystw bibliofilskich „Silva rerum”, jak również zmuszone było zaniechać publikacji okolicznościowych, przez 10 lat chlubie przynoszących podwarszawskiemu ośrodkowi. Towarzystwo Poznańskiemu (powstało w r. 1923) i Lwowskiemu (1925), po zorganizowanych w tych miastach ogólnopolskich zjazdach bibliofilów (we Lwowie 1928 i w Poznaniu 1929), nie stało sił na dalsze wybitniejsze zaznaczenie swego istnienia. Zrzeszeniu Wileńskiemu (istnieje od r. 1926), wydawniczo pracującemu w ciągu czterech pierwszych lat istnienia, nie udało się już zmobilizować sił i ośrodków na urządzenie nad Wilją 5-go Zjazdu Bibliofilów, pomimo zapowiedzi i usiłowań, czynionych dwukrotnie (w r. 1932 i 1933).

Koła i towarzystwa w mniejszych miastach prowincjonalnych — Zamość, Lublin, Toruń, Kalisz, Łódź — rzadkiemi lecz cennymi wydawnictwami od czasu do czasu ratują honor bibliofilstwa polskiego.

Centralny organ tych towarzystw — Rada Bibliofilska — zamarł zupełnie od roku 1929-go, gdy po raz ostatni na IV i ostatnim Zjeździe w Poznaniu dość słabo zmanifestował swoje istnienie.

Wynika z tego, że przeżywany przełom ekonomiczny jaknajfatalniej odbił się na naszych organizacjach bibliofilskich, w których zapanował bezwład, a gdzieś tam i szkoda dliwie rozprężenie, zawinione przez jednostki.

Istnieje obawa, że, gdy stan ten potrwa jeszcze przez czas pewien, pracę trzeba będzie zaczynać odnowa, zwłaszcza że i w bliskim kontakcie z organizacjami bibliofilskimi stojące nieliczne firmy drukarskie i wydawnicze nie stać dziś na mecenasowskie gesty.

A jednak kryzys nie może zatkać wszelkich źródeł poczynania kulturalnych, wśród których książka piękna i jej kulturowanie należą do ważniejszych akcyj, nie mogących ulegać zahamowaniu.

Niedawny tydzień książki z jego imprezami i wystawami ukazał nam w dość jasnym świetle, że książka polska zdobyła w ostatnich latach wybitną pozycję w dorobku kulturalnym, ale że obecnie grożą jej wielkie niebezpieczeństwa, o ile zarówno ogół, jak

i wybrana jego część w osobach prawdziwych i szczerych jej miłośników, pomimo kryzysu, nie podejmą szerszej działalności sanacyjnej.

Najwyższy więc czas, by przynajmniej nasze zrzeszenia bibliofilskie otrząsnęły się z chwilowego bezwładu i, pomimo wszystko i wbrew wszelkim najgorszym nawet koniunkturam, ponownie stanęły do wytyczonej pracy.

To też z radością należy powitać inicjatywę, jaką ujawniła ostatnio zasłużona jednostka — stary, luzem w swych umiłowaniach kroczący bibliofil: Jan Lorentowicz. Zdobył się on na zorganizowanie nowej bibliofilskiej placówki piśmienniczej, znajdując oparcie w ruchliwej i kulturalnej firmie wydawniczej „F. Hoessick”. Kwartalnik, założony świeżo pod redakcją Lorentowicza, nosi wymowny tytuł „Bibliofil Polski”, a jego redaktor w pierwszym zeszycie, poświęconym retrospektywnemu przeglądowi naszego miłośnictwa książki, z optymizmem, godnym w tych czasach szczególnego podziwu, wyraża nadzieję, że zdołamy pismo rozwinąć i udoskonalić w dalszych zeszytach, aby, przy ścisłym współdziałaniu z naszymi bibliofilami, pobudzać do nowych wysiłków i szerzyć w społeczeństwie kult pięknej książki!

Autorami artykułów, notatek i kroniki tego zeszycu są znani i zasłużeni: redaktor Lorentowicz, Ludomir Lewenstam, St. P. Koczorowski, Samuel Tyszkiewicz, Kaz. Woźnicki i Paweł Ettinger. Wstępny szkic Lorentowicza o bibliofilstwie, historia polskich towarzystw miłośników książki wraz z bibliografią wydawnictw — narazie warszawskich, krakowskich (zestawił J. Sokulski) i florencyjskich (Tyszkiewiczów) — tworzą główny zrab zeszycu, który uzupełniają szkice o ruchu bibliofilskim przedwzrostkiem francuskim, a także sowieckim, włoskim i częściowo niemieckim.

Szczupłe narazie działy: recenzyjny, notatek historycznych i kroniki, sięgające za ledwie połowy ubiegłego roku, dopełniają całości, pod względem formy zewnętrznej utrzymanej w charakterze druku spokojnego i szlachetnego, dość często tylko, niestety, zamąconego licznymi niedopatrzzeniami korektorskimi.

Pragnącby należało szerokiego rozpowszechnienia wiadomości o istnieniu tego wydawnictwa, gdyż jako jedynemu dziś organowi bibliofilstwa, należy mu się poparcie, umożliwiające skupienie dokoła tej nowej placówki liczniej grupy ludzi o szlachetnym zapale i żywych siłach twórczych. Przedewszystkiem jednak samo wydawnictwo winno w ruchliwszy sposób zorganizować kółka portaż kwartalnika, by nie przeleżał on znów kilka miesięcy na składzie, nikomu nieznanym i przez nikogo nie poszukiwanym (nb. zeszyt pierwszy nie zawiera nawet informacji o cenie i warunkach prenumeraty).

St. R.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Henryk Zyczynski: Materiały psychologiczne w literaturze. Uwagi nad współdziałaniem psychologa i polonisty w szkole średniej. Lublin 1933.

W treściwej broszurce porusza Henryk Zyczynski zagadnienie współpracy psychologa i polonisty w szkole. Stanowisko autora, który pragnie związać ściślej naukę o życiu duszy z humanistyką, staje się zrozumiałe na tle dzisiejszej reakcji przeciw psychologii, przyrodniczo nastawionej. „Odcyfrowując życie duszy z śladów, jakie zostawiło ono w dziejach, instytucjach społecznych, literaturze i sztuce, poznajemy je w postaci pełnej i możliwie beśpośredniej, a równocześnie odczuć tego nurtu rozwija naszą własną duchowość, budząc utajone we wnętrzu możliwości. Nie zdoła tego uczynić przyrodnicze traktowanie podmiotu, usiłujące pojąć go z pomocą zasady przyczynowości w postaci mechanizmu, złożonego z tysięcy kółek”.

W ośmiu zwięzłych rozdziałach postępuje Zyczynski według metody F. Burckhardta (Psychologische Skizzen zur Einführung in die Psychologie), który w podręczniku psychologii opiera się na materiale, zaczerpniętym z literatury pięknej. I tak rozpatrując istotę jaźni, przytacza Zyczynski przykłady zaburzeń psychicznych w „Nieboskiej Komedii” (żona doktora), w Reymonta „Fermentach” (Orłowski) i „Chłopach” (Boryna po chorobie). — Uważając wyobraźnię za władzę syntetyzującą umysłu, odróżnia ją autor od fantazji. Przykładów na zdezorganizowanie obrazu rzeczywistości dostarcza mu znów „Nieboska Komedja”. — Słusznie zwraca Zyczynski uwagę bacniejszą na dziedzinę teorii wartości, w podręcznikach szkolnych najczęściej pomijaną, a tak ważną i doniosłą dla wychowania młodzieży. Omawiając kolejno stany uczuciowe, uczucia wyższe, pożądania i dziedzinę woli, sięga po przykłady do arcydzieł literatury polskiej, niekiedy światowej. W nauczaniu szkolnym należy — zdaniem autora — rozważać objawy, mogące się przyczynić do poznania życia duchowego, zadań człowieka

i jej kultury. Cel ten zostanie osiągnięty, „jeżeli polonista i psycholog będą ze sobą współdziałać i to w tym sensie, że polonista będzie dokładniej nieco i umiejętniej przeprowadzał psychologiczną interpretację lektury, psycholog zaś nie będzie uczył swego przedmiotu w sposób oderwany, lecz będzie korzystał z tego żywego materiału, jaki dała nam genialna intuicja psychologiczna poetów”.

K. D.

Ks. dr. L. Zalewski. Z dziejów partyzantki r. 1833 w woj. Lubelskim. Wyd. Tow. Przyj. Nauk. w Lublinie. Lublin, 1933.

Nakładem T-wa Przyjaciół Nauk w Lublinie ukazała się interesująca praca ks. dr. L. Zalewskiego p. t. „Z dziejów partyzantki r. 1833 w województwie lubelskim”. W pracy tej znany bibliofil i autor szeregu prac historycznych i historycznoliterackich, daje nam obraz akcji zbrojnej Józefa Zaliwskiego na terenie Lubelszczyzny. Rzecz jest opracowana na podstawie badań archiwalnych i wskutek tego ma znaczenie źródłowe. Dzień po dniu staję nam przed oczyma losy oddziału Zalewskiego, ich namewy po lasach, dokonywane wśród ciałych rot piechoty rosyjskiej i setek kozaków, zaalarmowanych ukazaniem się powstańców. Kolejno przesuwa się przed nami postacie niewielkiej garstki romantycznych bohaterów dramatu dziejowego. Zaliwski, którego rola zaczęła się od marzeń o nowym roku 1830 a skończyła — na strasznie władz rosyjskich obecnością swoją w lasach — to postać wysoce tragiczna, aczkolwiek książka omawiana przybliża ją nam, odbronzowuje i nie jako pozbawia patosu.

Praca o partyzantce Zaliwskiego składa się z czterech części: partyzantka, sądy i kary, sąd w Józefowie nad Wisłą. Całości można zarzucić dysproporcję w konstrukcji: ostatni mało istotny dla sprawy Zaliwskiego rozdział został potraktowany stosunkowo może zbyt obszernie. Całość jednak jest pracą wartościową i interesującą.

OD SŁOWA DO SŁOWA

TERROR DOWCIPKU

P. Antoni Slonimski i „Wiadomości Literackie” cierpią coraz poważniej na kompleks Kadena. Rzecz to sama przez się dość blaha, nie warta aż feljetonu, gdyby nie trzy okoliczności: kto? kogo? i jak? — które zaczynają wyglądać coraz poważniej i coraz gorzej.

Wczymy np. sprawę — jak? — A niechby sobie dokuczali Kadenowi dowcipkami i kalamburami, jak chcą i gdzie chcą. Tematów, powodów i to słusznych — będzie dość, już choćby w sprawie tych w teli akademickich. Tu do spółki z „Cyrukiem” będą mieć rację. To byłoby nawet naprawdę wesołe. Ale niechże przytem zachowują jakiś minimalny poziom kultury i przyzwoitości! Niechże piszą o jego wrodach, a nie o kieszeni! Bo to i nieprawda i niezbyt smaczne. I w tym punkcie z owym „poziomem” (który tak dumnie starały się przeciwstawić „Wiadomości” — Pionowi) zaczyna być coraz gorzej. A nawet całkiem źle. To już jest niwelacja na poziomie Millerowskim. I to już nie jest rzeczą blahą, gdy na takim poziomie prowadzi kampanję polemiczną konsekwentnie z numeru na numer, i to w kilku działach — piśmo, które ma służyć kulturze literackiej, i które nawet przez dziesięć lat miało w tej dziedzinie monopol. To już jest nie tylko obniżenie poziomu, ale zapowiedź zdziczenia kulturalnego, przed którym ostrzega Witkacy.

Drugą sprawą jest kwestja — kogo? Porachunki z Kadenem? — Niel — To byłoby mało. Bombardują gazami cuchnącymi każde miejsce, gdzie choćby raz Kaden się pokazał. Były jego dwa artykuły w „Pionie” — to strzelał w niego zatrutym pociskiem. Tym razem będą mierzyc w kolegę Skińskiego. „Ex-endecki publicysta”. Argument jadowity — prawda — lecz jakże niesmaczny — właśnie u nich. Póki p. Skiński pisze w „Wiadomościach Literackich”, jest publicystą wybitnym i cenionym. Gdy, mając do wyboru ich i „Pion”, wołał nas wybrać — staje się zaraz „ex-endeckim”. I ten zarzut wysuwają mu w piśmie, które dumnie jest z tego, że niema żadnych przekonań, dla którego więc sprawa dawnych przekonań nie powinna być żadnym zarzutem. Jeśli więc to robią — to tylko dlatego, by nie wobec nas, ale w oczach pewnych czytelników zlekka p. Skińskiego zadencjonować: ex-endeck!

(Dziwne są czasem metody humanitarnych literatów.)

Istotnie — w czasach, kiedy p. Slonimski kręcił się koło naszego obozu, jako kibic, p. Skiński był naszym przeciwnikiem. Dziś jest sprzymierzeńcem. I jako przeciwnika i jako współkolegę szanowaliśmy go i szanujemy zawsze. Nie był dla nas i nie będzie kibicem.

Ale nie to jest głównym punktem sprawy „kogo”. Główny bowiem atak idzie na oba teatry Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej. Atak namiętny, bezustanny, bezparadonowy. Argumenty „kieszeniowe” o „wałach banknotów”, o setkach tysięcy, przepływających się z bardzo bezceremonjalną charakterystyką repertuaru i niesłuchanie lekkim przewartościowaniem wszelkich wartości.

„Danton” Przybyszewskiej był wybitnym dziełem, gdy go drukowały „Wiadomości”, — gdy go zagrał Teatr Polski — stał się nędznie dramidłem. Shaw był wielkim przez całe dziesięć lat — stał się nudziarzem, skoro tylko ukazał się w tym teatrze. A zresztą o tych sztukach wspomina się jaknajmniej, tak samo jak o Szekspirze. P. Slonimski wodzi w całym repertuarze tegorocznym, tylko te dwie sztuki z repertuaru zeszłorocznego: „Fräulein Doktor” i „Azais”. I martwi się — niskim poziomem teatrów. Robi wszystko od początku co może, aby teatry te zarządzić (bo przecież Wiadomości mają jeszcze pewien zasięg i wpływ), dopuszcza się nawet bardzo przyręczkich rzeczy w tym kierunku, pisze że „Fräulein Doktor” szła „przy pustej sali”, choć wie, że to jest nieprawda, (bo „Fräulein Doktor” szła kompleta tak samo jak „Rodzina”) i że takie powiedzonka szkoda „teatrowi”, — ba — starał się nawet sam (na szczęście bezskutecznie) obniżyć poziom repertuarowy tych teatrów, proponując im swą „Rodzinę”

do grania, — a jednocześnie rozdziera szaty, ubolewa i lituje się nad temi teatrami.

To jest jego „krzewienie kultury teatralnej” od „Sowidrzala” gdzie także był recenzentem teatralnym — do „Wiadomości Literackich”. Tylko gdzie w tych tradycjach „sowidrzalskich” jest jakaś walka o poziom teatru? Zawsze było i jest wydrwiwanie każdego teatru i każdej sztuki teatralnej. — To jest zagadnienie — „kogo?”

Najważniejszym jest pytanie — „kto?” — Bo ono w pierwszym rzędzie nie pozwala na traktowanie sprawy jako blahiej. — Kto? — „Wiadomości Literackie”. Przecież to piśmo jest do dziś dość potężnym instrumentem kształtowania opinii w sprawach kulturalnych. Do niedawna było ono jeszcze potężniejszym. Miało monopol. Sprawowało — i to dość bezwzględnie — prawdziwą dyktaturę.

Tak to dziś wygląda, jakby owa dyktatura dziesięcioletnia zaczęła się dzisiaj mścić na nich. Bo chociaż z tym monopolem i dyktaturą dziś już nie jest tak dobrze — ale „zamaszki” dyktatorskie, które w nałóg weszły, pokutują w nich jeszcze dość mocno: — tylko to, co do nich przyjdzie do druku czy aprobaty, tylko to, co z nimi się wiąże — ma wartość i prawo bytu. Co związać się z nimi nie zechce — zatłamsza milczeniem — lub drwiną. Dowcipem albo dowcipkiem.

Terror dowcipku.

I dlatego Kaden okazał zuchwałość, odrzucając „Rodzinę” Slonimskiego.

Zastrzegam się szczerze, że nie sądzę, aby p. Slonimski mścił się za to osobiście. Najwyżej ten fakt uwolnił go od konieczności ewentualnych względów i dał mu zupełną swobodę. To wszystko. Ale tu nie o p. Slonimskiego chodzi, lecz o „Wiadomości”. Odrzucenie sztuki Slonimskiego było rzuceniem rękawicy nie jemu, a właśnie „Wiadomościom”. Było zlekceważeniem ich ewentualnego poparcia, a więc ich znaczenia, było deklaracją nie uznawania ich dyktatury, jakże zbyt długo skutecznej!

Z Kadenem klóć się często i mocno. Uważam, że z temi nazwiskami dla foteli — to słaby pomysł. Ale gdy nie uląkł się tej dyktatury i tego terroru dowcipku, którego musiał oczekiwać po odrzuceniu „Rodziny” — to za tę odwagę i za odrzucenie śmieszkiej lecz przykrej sztuki — muszę mu oddać sprawiedliwość.

Miał chłop odwagę i rację! Precz z dyktaturą dowcipasów!

Andrzej Chudogęba.

WŚRÓD MAGÓW

Sprawa jasnowidzenia niepokoi wszystkich — fantastów i ludzi trzeźwych, prostaków i uczonych. W gabinecie pewnego lekarza dokonano przed paru dniami eksperymentu nad jednym z literatów warszawskich. Powiedziano mu:

— Pan X Y wyszedł przed kwadransem ze swojego mieszkania przy ulicy Piusa XI Nr. 52.

Literat popadł w pewnego rodzaju zamyślenie i oświadczył:

— Pan X Y znajduje się w tej chwili na ulicy Marszałkowskiej, minął dom Nr. ... zatrzymał się przed wystawą...

Traf chciał, że była to wystawa kolektury Polskiej Loterii Państwowej.

Obecni przy doświadczeniu, specjalnie zaproszeni wróżbici: „psychofrenologowie”, „profesorowie wiedzy tajemnej” etc. zaofiarowali się natychmiast z tem, „że przepowiedzą”, czy na bilety w owej kolekturze padną wygrane. Propozycja ta wywołała śmiech wśród lekarzy, wiadomo bowiem, że ilość wygranych na Polskiej Loterii Państwowej jest ogromna, zaś plan gry jest taki, że każdy bilet loteryjny ma wielkie szanse wygranej. Można tedy mieć zgóry pewność, nie będąc zawodowym prorokiem, że na znacniejszą ilość biletów, leżących w każdej kolekturze, padnie szereg wygranych. Dlatego „przedstawiciele zaświatów” tak chętnie przepowiadają wygraną na loterji.

IV SALON ZIMOWY INSTYTUTU PROPAGANDY SZTUKI

Od czterech lat Salon Zimowy Ipsu — stanowi u nas kulminacyjny punkt sezonu wystawowego. Wszystko, na co tylko nas stać w tej dziedzinie — cokolwiek mamy w sztuce najlepszego, najoryginalniejszego, co tylko technicznie prawdziwym, inteligentną i energią — znajdziemy na tej wystawie niemal bez reszty. Ale obok bezsprzecz-



Henryk Kuna Portret prof. Zielińskiego

nie mocnych, „murowanych” pozycji tej imprezy — spotkamy się tam zawsze i z jej słabszą stroną — nie tak bowiem nie obnaża sumienia artystycznego wystawcy, jego intencji — jak konfrontacja jego dzieła, z dziełami innych, zwłaszcza pokrewnych mu ideowo komilitonów. I tegoroczny „salon” Ipsu ma swoje nadiry i zenity — jakkolwiek w porównaniu z ubiegłymi laty — posiada znacznie więcej ideowej zwartości i zdobywczej siły.

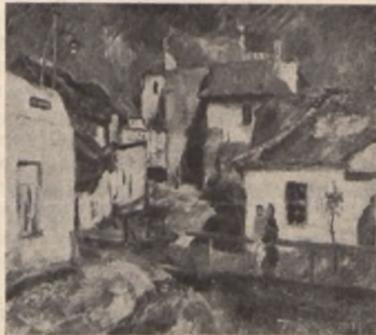
Poziom „salonu” naogół wysoki. Prac słabych i zbyt technicznych prawie nie widać. Jakiś szczyt, nieklamany entuzjazm wieje od tych ścian — gdzie dokonana się tak istotna przemiana twórczych impulsów w nowym pokoleniu. Głównym sensem tej przemiany, jest usilna dążność do zachowania i rozwijania artystycznych wartości w sztuce, wartości normatywnych, w związku ze stylem naszej epoki, oraz z duchem rasy i jej tradycjami. Każdy z tych artystów kuje na swój sposób drogę w pełnej skamienielni i uprzedzenia rzeczywistości polskiej — każdy z nich do ogólnego dorobku dorzuca szlachetny kruszec własnych wysiłków, doświadczeń i wiedzy. Indywidualizm jednostki twórczej na miejsce dawnego, naturalistycznego w sztuce światopoglądu — lub dekadentckiego absolutu „dusz nagich i chorych” — zdrowy optymizm życiowy w miejsce wymyślonych straszaków nastrojowych — oto ogólne zarysy tych nowoczesnych zasad i orientacji nowego pokolenia.

I jeszcze jedno. Brak głębszej tradycji plastycznej, powodujący czasami bezkrytyczne naśladownictwo obcych wzorów — jest nie raz u nas przyczyną powstawania prac niedoświadczonych i połowicznych. Zarzutu tego nie można jednak generalizować. Mimo tych „obcych wpływów” — tak często u nas bezmyślnie potępianych — każda silniejsza indywidualność żyje i żyć będzie przedewszystkiem z własnego kapitału twórczego, jak np. Wyspiański — którego wiedza i kultura plastyczna, powstały głównie z mądrego i wnikliwego obcowania z największym malarstwem świata. Niewątpliwie, kierunek myślowy i wrażliwość artystyczna, nabyta w paryskiej centrali, oko wykształcone na wspaniałym materiale muzealnym — wszystko to w dużej mierze decyduje o stosunku młodego malarza do rzeczywistości widzialnej i o jego selekcji wzrokowego materiału. Ale oprócz tych ogólnych czynników kształtujących — powstają jeszcze specjalne predyspozycje psychiczne, wynikające z bliskiego i głębokiego współżycia z narzucającą się rzeczywistością rodzinnego środowiska. Te pierwiastki rasowe decydują nie tylko o fizjonomii wyobraźni twórczej — lecz równocześnie także i o postawie intelektualnej i uczuciowej artysty w chwili realizacji wizji plastycznej. Przyznaję, że teoretycznie kwestia rasowości w sztuce nie jest jeszcze należycie postawio-

na — co jednakowoż nie przesądza jej istnienia w stanie potencjalnym — niezależnie od panującego w danej chwili w sztuce światopoglądu.

Jeśli chodzi o malarstwo nowoczesne reprezentowane na „salonie” Ipsu — to kwestja ta nabiera specjalnego znaczenia ze względu na ogólny kierunek myślowy tego malarstwa, gdzie istotnym elementem budującym jest barwa i gdzie forma w stanie dość nieokreślonym zepchnięta jest do podrzędnej roli płamy kolorowej. Dla widza nie jest to malarstwo łatwe. Bezwzględna przewaga czystego malarstwa i to wyspecjalizowanie się w kierunku barwy, jako wartości ekspresyjnej niezależnie od przedmiotu — dezorientuje tu nieco naszą publiczność, przyzwyczajoną do zgodnej z lokalnym kolorem interpretacji przedmiotu w naturze. Momenty zwłaszcza, kiedy ta barwa przelewa się poza linje, kiedy przesiąka poza granicę konturu w tło, kiedy i faktura (t. j. sposób kładzenia farby na płótnie) uniezależnia się od zarysów formy — momenty te nie znajdują u przeciętnego widza należytego zrozumienia, a widz ten skłonny jest raczej do załiczenia tego procederu na karb nieudolności malarza, aniżeli na konto jego świadomej pracy nad ożywieniem barwnej płaszczyzny obrazu.

Metoda ta, której ojcem duchowym jest Matisse, Bonnard a poczęści prof. Pankiewicz — znalazła w malarstwie „kapistów” swą pełną i nader szczęśliwą realizację. Nie przeciętna kultura w dotyku pędzla, wysoko postawiona wrażliwość na barwę i inteligentne podejście do problemu budowy obrazu — oto zalety malowideł H. Rudzkiej-Cybisowej, J. Cybisa, J. Czapskiego, T. Potworowskiego, D. Seydenmanowej, S. Szczepańskiego, M. Szulcowskiej, W. Taranczewskiego, Z. Waliszewskiego i całego szeregu młodych malarzy blisko nich stojących (jak Adwentowicz, Axer, Szyszko-Bohusz, Bossowski, Jaeschke, Krzeszka, Larisch, Mars, Ruszkowski, Rzepiński, Studnicki, oraz J. i M. Żulawscy).



Jan Karmański Motyw z Kazimierza

Słabą stroną tego malarstwa (jak i w ogóle całej wystawy) — jest rezygnacja z formy, jako budulca — dlatego też sztuka T. Czyszewskiego, H. Gotliba, J. Hryniewskiego, K. Mackiewicza i A. Rafałowskiego, — którzy te dwa współczesne elementy w budowie obrazu: formę i barwę — zdołali poddać ogólnej dyscyplinie kompozycyjnej — ma tutaj osobliwe znaczenie. Jest to malarstwo syntetyczne a zarazem par excellence kontrastowe. „Szkoła krakowska” reprezentowana w pracach A. Gerzabka, M. Jabłońskiego, Z. Milliego, Z. Pronaszki, E. Krchy, J. Krzyżanowskiego i A. Terleckiego, i w kilku innych przedstawia się interesująco i poważnie. T. zw. „Ecole de Paris” — odpowiada malarstwu niektórych rytmistów, jak Kramsztyk, Borowski i T. Niesiolowski — a w bardziej dosłownym znaczeniu — S. Grabowski i R. Kancelba. Skrajni moderniści: W. Strzemiński, J. Krause i M. Lunkiewiczowa — stali się tym razem bardziej czytelną a formistą W. Wąsowicz, na swej nowej drodze w mocnym, monumentalnym niemal traktowaniu formy — wskrzesza dobrą a tak niedawną tradycję postkubistycznej sztuki ś. p. Makowskiego.

Przeciwieństwem postimpresjonistycznego koloryzmu „kapistów” — jest na „salonie” realizm b. wychowanków warszawskiej Akademii. Nie jest to malarstwo bez znaczenia, jakkolwiek pojęcie formy nie jednocy się tam z pojęciem stylu a elementem czysto zmysłowy i obiektywny, bezwzględnie w niem przeważa. Narazie w sztuce L. Bielskiej, G. Hufnagłówny, W. Kocha, J. Korolkiewicza, N. Korzenia, S. Pękalskiego i A. Zywa — można zaobserwować pewne szlachetne dążenia do odtworzenia wyrazu przedmiotów i osób przy umiejętnym wykorzystaniu światła, jako czynnika rozwijającego formalny

sens kompozycji — ale to jeszcze nie wszystko. Tutaj dalszy rozwój tych młodych talentów, może dopiero ostatecznie zdecydować o logicznym wyniku ich przesłanek twórczych i rozszerzeniu ich skali na inne sfery malarskich zainteresowań.

Słabo reprezentowana grafika, daje jednak znakomite prace scenografa S. Sliwińskiego („Wielki Piątek” i oberża do „Cyrano de Bergerac”), H. Polańskiego (rysunki węglem) i S. Mrożewskiego (drzeworyty), oraz akwarele Skoczylasa i Surally.

Jeśli chodzi o formę — to rzeźba bezwzględnie zdystansowała tu malarstwo. Trzymając się ona nie bez racji swego istotnego elementu: bryły, a nieznacznie jej ustępstwo na rzecz stylizacji w pracach niektórych młodych artystów — nawet się jej poczęści oplaca. Uderza nas tutaj przedewszystkiem monumentalność założeń i brak, zupełny prawie bibelowości w opracowaniu szczegółów. Wszystko stoi mocno, bryła lżejsza opiera się na cięższej a profile rzeźbiarskie mają swój właściwy wyraz bez uciekania się do pomocy światłocienia. Ale realizm

bezwzględnie przeważa. Holduje mu nawet Kuna, który w swej statyce i powadze pozycji i gestu stał się niemal klasykiem (portrety prof. Zielińskiego i gen. Zaruskiego). M. Grosówna w portrecie F. Fiszera, nie dała się skusić łatwą charakterystyką tej popularnej postaci. Wychodząc z podobnego założenia co Kuna, zdecydowała się na umiar i powściągliwość. Rzecki w swym akcie kobiecym oraz S. Komarski w swych rzeźbach zwierząt — poszukują nie bez powodzenia własnych przesłanek stylowych a O. Niewska w głowie „Derwisza”, zdobyła się na nową akumulację rzeźbiarskich przesłanek o wybitnie dekoracyjnym założeniu. Wreszcie młodzi artyści A. Karny i F. Strykowski — pierwszy w swych portretach, zaś drugi w gipsowym akcie kobiecym — podkreślają znaczenie najprostszymi odmiannymi i ruchu we własnej interpretacji rzeźbiarskiego rytmu.

Salon Ipsu daje dobre wyobrażenie o współczesnym obliczu plastyki polskiej z dni ostatnich.

Konrad Winkler

NA EKRAKACH

NOWA PLEĆ
(Kino Styłowy)

Tytuł ten jest zwodniczy. Wcale nie chodzi o jakąś nową pleć t. znaczy trzęcia. A szkoda. Wogóle należy załować że nie ma przynajmniej trzech rodzajów na świecie. Jeśli z dwoma jest tyle kłopotu, żeby coś z tego wyszło, to cóż dopiero za widek roztoczyły się przed naszymi oczami, gdyby taka ewentualność urzeczywistniła się naprawdę. Oczywiście ta „nowa pleć” nazywałaby się rodzajem jakimś, t. j., ani takim ani takim. Musimy przyznać, że zamienienie ról w omawianym obrazie przez kobiety i mężczyzn stworzyło właśnie taką jakąś pleć i to podwójną w swej nijakości. Bowiernie obie strony wyglądają raczej bliżej niż mądrze w pozamiennych szatach. Nadomiar wszystkie owe państwo amazońskie dziwnie przypominają ilością wojska oraz ciągłymi przemarszami tego ostatniego, ustroje rządzone przez mężczyzn.

Piękny mit hellenicki o bohaterskich niewiastach został w tym filmie podany ciężko, poniemiecku i zbyt namacalnie. Podkreślano te wszystkie wady bogactwo wystawy rzeczywiście imponujące, jeśli chodzi o ilości statystów i cały aparat realizacyjny. Szczególnie ubiory aż kapaly na bohaterkach, tak obficie i bogato je w nie przystrojono. Dzielne niewiasty szwendały się też ciągle w zbrojach i nagolennikach nawet w czasie pokoju, po domu, omal nie w kąpieli. Te wszystkie przytoczone powody oraz wiele innych sprawiają, że film wydaje się być naprawdę tej trzęcicy plci — nijakiej. Ani parodia, ani wierne odwzorzenie mitu, ani aluzja do aktualności, ani erotyka — więc to? Chyba tylko wystawa, bo i dowcipów trochę zamalował jak na tak długą taśmę. Zresztą aktorki, kreujące główne role zbyt nowoczesnie i grubo pojęły swoją amazońską rolę. Nie trzeba chyba specjalnie podkreślać, ale mężczyzn być nie tak łatwo. Trzeba się przedewszystkiem nim urodzić, a potem dopiero szereg zabiegów dopełnia jego naturalne przymioty. Mężczyzna też jest subtelny i trudny do ujęcia, a kobiety podrabiając go, czynią to zazwyczaj źle. Najnowszy przykład to omawiany film.

Krótkometrażowy film „Awangardy” jest rodzimej produkcji. Dowody tego są następujące: fatalne dialogi, kompletny brak treści, idjotyczny pomysł scenarjusza, pokazywanie gołych nóg oraz uwiedzenie i dzieciak. I to wszystko na paruset metrach taśmy. Prawdziwy film „Awangardy”. Co inni przez półtorej godziny — oni w dziesięć minut. Osladza całość gra nieznannej aktorki oraz muzyka Palestra.

GRZECH
(Kino Colosseum)

Joan Crawford wypożyczono wytwórni United Artists, aby zrobić film oparty na noweli Somerset Maugham. Jest to historia wymierzona przeciwko purytańskim sprawkom Armji Zbawienia, której przedstawiciel lata jako opętany i donosi władzom policyjnym na biedną dziewczynę, zamiast się zająć naprawdę dziełami miłosierdzia. Spotyka go za to kara słuszną i przykra. Nadto przez cały obraz lecie deszcz jak z cebra. Jest to zrobione naturalistycznie bardzo dobrze, a atmosfera małej miasteczka portowej gdzieś na Hawajach doskonale zestrzaja się z szarugą bez końca i nudą osób przymusowo tam pozostających na kwarantannie. Dramat wewnętrzny, psychologiczny, jest pełen niekonsekwencji i załamania, aby wreszcie zakończyć się zupełnie bezdurnie, chyba tylko dlatego, że musiał być happy end w finale. Nie znamy autentycznej noweli, na której oparto scenariusz, ale należy mniemać, iż wywrócić ją na nice wcale dekladnie. Takich młodych kryminalów psychologicznych nie śmie libyśmy rzucać na dzieła literackiego to wybitnego pióra. Joan Crawford oczywiście niebezpiecznie kusząca i o pierwszorzędnej linii. „Grzech” z nią — to poprostu mniem mniem.

czuć się zupełnie bezdurnie, chyba tylko dlatego, że musiał być happy end w finale. Nie znamy autentycznej noweli, na której oparto scenariusz, ale należy mniemać, iż wywrócić ją na nice wcale dekladnie. Takich młodych kryminalów psychologicznych nie śmie libyśmy rzucać na dzieła literackiego to wybitnego pióra. Joan Crawford oczywiście niebezpiecznie kusząca i o pierwszorzędnej linii. „Grzech” z nią — to poprostu mniem mniem.

POWIEŚĆ FILMOWA MORANDA

Paul Morand napisał powieść, osnutą na tle stosunków w francuskiej branży filmowej. Powieść godzi w obecne stosunki, przyczem jest rzeczą charakterystyczną, iż autor „Europie swawolnej”, globtrotter, międzynarodowiec z pozorów, kosmopolita, — występuje właśnie przeciw rozpanoszonej handzie cudzoziemców, grasujących w życiu francuskim. Nie chodzi mu, rzecz prosta, o wybitne siły zagraniczne, o znane nazwiska literackie, lecz o zalew Paryża przez miernotę, żerującą i udającą Francuzów. Film francuski jest niejako w ich dzierżawie.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.
w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

WIELKA ZNIŻKA CEN!

Wydawnictwo Księgarni i Cytelnia
G. SZYLLINGA

Warszawa, Szpitalna 10. Tel. 2-59-69

	Cena dawna	Cena obecna
Burnet H.		
Mała Księżniczka, kart.	10.—	6.—
opr. płót.	12.—	8.—
Ciechanowiecka		
W Sercu Sahary, br.	16.—	10.—
opr. płót.	20.—	15.—
Deil. — Lampa na pustyni		
z ang. br.	9.—	4.50
Or-Ot A. — Abecadło Wolnych Dzieci.	br.	3.50 2.80
Rosinkiewicz.		
Przygody Lotnika, kart.	5.80	3.80
Sewell. — Mój kary,		
przekł. z ang. kart.	6.80	4.—
opr. płót.	10.—	7.—
Ostatnie egzemplarze nakładu są do nabycia po cenach znizonych we wszystkich księgarniach.		

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24.00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21.44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 spalny—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10